Kto ma prawo do błędu? O nierównym ciężarze winy

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł stanowi głęboką analizę socjologiczną i polityczną mechanizmów wykluczenia w Polsce. Autor, posiłkując się aparatem pojęciowym Glenna Loury'ego, wyjaśnia kluczową różnicę między literą prawa a społeczną stygmatyzacją, która dotyka mniejszości. Tekst konfrontuje konstytucyjne gwarancje równości z codzienną praktyką sygnifikacji obcości oraz nową strategią migracyjną rządu z 2024 roku. Wskazuje na niebezpieczeństwo przedkładania języka bezpieczeństwa nad integrację i empatię, co prowadzi do tworzenia reżimów znaczeń wykluczających migrantów z kręgu wspólnoty. Autor proponuje budowę trwałych struktur kontaktu instytucjonalnego jako realne antidotum na systemową niesprawiedliwość i lęk przed obcym, podkreślając, że samo prawo nie wystarczy do zwalczenia głęboko zakorzenionych uprzedzeń społecznych. To wezwanie do refleksji nad tym, jak budujemy granice naszej empatii.

This article provides an in-depth sociological and political analysis of the mechanisms of exclusion in Poland. Drawing on Glenn Loury's conceptual framework, the author explains the crucial difference between the letter of the law and the social stigmatization that affects minorities. The text confronts constitutional guarantees of equality with the everyday practice of signifying foreignness and the government's new migration strategy of 2024. It highlights the dangers of prioritizing the language of security over integration and empathy, which leads to the creation of regimes of meaning that exclude migrants from the community. The author proposes the development of lasting structures of institutional contact as a viable antidote to systemic injustice and fear of the other, emphasizing that law alone is insufficient to combat deeply rooted social prejudices. This is a call for reflection on how we construct the limits of our empathy.

Polski dyskurs publiczny dotyczący mniejszości i migracji utknął w pułapce „małej metafizyki wykluczenia”, w której formalna równość wobec prawa rozmija się z brutalną praktyką społeczną. Opierając się na koncepcjach Glenna C. Loury’ego, artykuł

diagnozuje polski problem nie jako sumę indywidualnych uprzedzeń, lecz jako systemowy reżim znaczeń. Państwo, mimo deklaratywnego antyrasizmu, często produkuje stygmat, redukując złożone jednostki do figur zagrożenia lub obiektów zarządzania. Autor stawia tezę, że sama antydyskryminacja – rozumiana jako techniczne przestrzeganie procedur – jest niewystarczająca. Prawdziwym wyzwaniem cywilizacyjnym jest polityka antystygmatyzacyjna, która wymaga odejścia od esencjalizmu, będącego „intelektualnym fast foodem polityki". Zamiast traktować różnorodność jako koszt, Polska musi zainwestować w integrację instytucjonalną – trwałe struktury kontaktu w szkołach i miejscach pracy. Tylko poprzez porzucenie lękowej narracji na rzecz budowania realnej podmiotowości obywatelskiej, społeczeństwo jest w stanie uniknąć samospełniającej się przepowiedni o konflikcie, przekształcając emocjonalną gościnność w stabilny system współistnienia oparty na wzajemnym uznaniu.

SŁOWA KLUCZOWE

stygmat społeczny | sygnifikacja obcości | Glenn C. Loury | reżim znaczeń | integracja instytucjonalna | esencjalizm | presja hybrydowa | przestępstwa z nienawiści | paternalizm | dyskryminacja | metafizyka wykluczenia | strategia migracyjna | hierarchizacja | prawa człowieka | analiza polityczna

Mechanika wykluczenia: dlaczego prawo nie wystarczy

Anegdota na początek powinna być prosta, niemal banalna, ponieważ rasizm rzadko objawia się w blasku pochodni czy rygorze munduru. Zaczyna się on raczej od cichego westchnienia w kolejce do kasy, odwróconego wzroku w tramwaju lub żartu rzuconego rzekomo bez złych intencji. Słyszymy wtedy sąsiada, który zapewnia o swojej tolerancji, by po chwili dodać owo nieszczęsne „ale", będące jednym z najważniejszych spójników politycznych naszych czasów. W nim mieści się cała mała metafizyka wykluczenia, pozwalająca zachować obraz siebie jako człowieka przyzwoitego, a jednocześnie przesunąć obcego poza krąg empatii. To właśnie ta furtka, przez którą stygmat społeczny, czyli mechanizm przypisywania jednostkom negatywnych cech ze względu na ich przynależność grupową, wchodzi do salonu w kapciach.

Gdyby Glenn C. Loury miał opisać polską debatę o mniejszościach, zapewne nie pytałby w pierwszej kolejności o liczbę deklarowanych rasistów w sondażach. Skupiłby się raczej na pytaniu głębszym: jakie znaczenia społeczne zostają przyklejone do konkretnych ciał, nazwisk, akcentów czy paszportów w naszej codziennej przestrzeni? W Polsce rasizm rzadko przybiera postać amerykańskiego, binarnego podziału na czarne i białe, działając raczej jako gęsty układ nakładających się na siebie uprzedzeń. Zachodzi tu sygnifikacja obcości, czyli proces nadawania cechom fizycznym lub kulturowym znaczenia politycznego, co sprawia, że zwykły ubiór staje się narzędziem hierarchizacji. Widzimy to w paternalizmie wobec Ukraińców, lęku przed muzułmanami czy w coraz bardziej brutalnej retoryce wobec migrantów jako figury zbiorowego zagrożenia.

Aparat pojęciowy Loury'ego jest tu wyjątkowo użyteczny, gdyż pozwala nam wyjść poza powierzchowne rozumienie problemu jako sumy złych przekonań jednostek. Rasizm to przede wszystkim system społecznego znaczenia, w którym wspólnota produkuje podziały na „nas" i „ich" na długo przed wydaniem jakiejkolwiek decyzji administracyjnej. Loury uczy nas, że dyskryminacja dotyczy tego, jak ludzie są traktowani przez prawo, natomiast stygmatyzacja dotyczy tego, za kogo są oni w istocie uważani. Esencjalizm jest intelektualnym fast foodem polityki, który syci szybko, lecz szkodzi długo, redukując złożonego człowieka do jednej, narzuconej mu odgórnie etykiety. To rozróżnienie stanowi klucz do zrozumienia polskiego problemu, gdzie litera prawa często rozmija się z duchem społecznej praktyki.

Polska dysponuje konstytucyjnymi gwarancjami równości oraz przepisami karnymi przeciwko mowie nienawiści, co teoretycznie powinno zapewniać nam wszystkim bezpieczeństwo i spokój. Mimo to nasze otoczenie wciąż produkuje środowisko, w którym pewne grupy są odczytywane jako ciała podejrzane, kultury niekompatybilne lub wręcz ryzyko cywilizacyjne. W tym kontekście pytanie o to, co polskie partie robią w kwestii walki z rasizmem, zmusza nas do udzielenia odpowiedzi wyjątkowo niewygodnej i złożonej. Z jednej strony państwo buduje ramy prawne równego traktowania, wdrażając europejskie standardy ochrony mniejszości narodowych oraz programy edukacyjne mające na celu zwalczanie stereotypów. Rządowy program na lata 2022–2030 wskazuje na konieczność poprawy ścigania przestępstw z nienawiści, co jest fundamentem sprawnego funkcjonowania nowoczesnej demokracji.

Jednak ta sama administracja prowadzi obecnie debatę migracyjną, w której język bezpieczeństwa zaczyna powoli, lecz systematycznie pożerać język integracji i empatii. Przyjęta w październiku 2024 roku strategia „Odzyskać kontrolę. Zapewnić bezpieczeństwo" stała się osią sporu o to, czy państwo buduje realną zdolność do współistnienia. Dokument ten wprowadza reżim znaczeń, czyli ramy narracyjne definiujące mniejszości bardziej jako obiekty zarządzania i kontroli niż jako

pełnoprawnych współobywateli. Rzecznik Praw Obywatelskich słusznie pytał o propozycję czasowego zawieszania prawa do azylu, co wywołało falę krytyki ze strony organizacji społecznych dbających o prawa człowieka. To napięcie stanowi serce polskiego dylematu, w którym konieczność ochrony granic musi mierzyć się z ryzykiem utrwalania ksenofobicznych uprzedzeń.

Musimy przy tym pamiętać, że państwo mierzy się z realną presją hybrydową, czyli instrumentalnym wykorzystywaniem migracji przez autorytarne reżimy do destabilizacji naszych struktur. Wyzwanie to jest autentyczne, lecz często bywa mylone z uprzedzeniami rasowymi, co prowadzi do niebezpiecznych uproszczeń w debacie publicznej. Rozwiązaniem nie jest jednak wyłącznie zaostrzanie rygorów, lecz integracja instytucjonalna, polegająca na tworzeniu trwałych struktur kontaktu w szkołach czy miejscach pracy. Przekształca ona nietrwałą, emocjonalną gościnność w stabilny system współistnienia, który chroni nas przed pokusą wykluczenia w imię źle pojętego bezpieczeństwa. Bez takich narzędzi państwo pozostaje jedynie strażą pożarną bez wody, która posiada wprawdzie mundury, lecz nie potrafi skutecznie ugasić pożaru nienawiści.

Test Loury'ego: Jak partie polityczne produkują stygmat

Glenn Loury, wybitny ekonomista i socjolog, postawiłby nam natychmiast fundamentalne pytanie o to, jakie znaczenie społeczne jest produkowane przy okazji debaty o migracji. Czy w polskim dyskursie migrant jawi się jako konkretna osoba posiadająca prawa, unikalną biografię, rodzinę i lęki, czy może zostaje zredukowany do bezimiennej, zagrażającej masy? Musimy rozstrzygnąć, czy uchodźca jest dla nas podmiotem wymagającym ochrony, czy jedynie figurą destabilizacji porządku publicznego. Podobnie rzecz ma się z muzułmaninem – czy postrzegamy go jako potencjalnego współobywatela, czy raczej jako cywilizacyjnego intruza naruszającego nasze status quo. Nawet obecność osoby czarnoskórej w tramwaju staje się testem: czy to po prostu pasażer, czy egzotyczne zdarzenie w swojskim krajobrazie. Właśnie w tym miejscu, według Loury'ego, biurokratyczna procedura spotyka się ze stygmatem społecznym, czyli mechanizmem przypisywania jednostkom negatywnych cech na podstawie ich przynależności do grupy postrzeganej jako gorsza.

Możemy mieć do czynienia z sytuacją, w której litera prawa pozostaje formalnie neutralna, lecz towarzysząca jej narracja publiczna okazuje się głęboko trująca dla tkanki społecznej. Dlatego polskie partie polityczne należy oceniać nie tylko przez pryzmat ich oficjalnych programów, ale przede wszystkim na podstawie kategorii społecznych, które świadomie lub nieświadomie wzmacniają. To jest właśnie sedno testu Loury'ego, który wymaga od nas wyjścia poza powierzchowne deklaracje o tolerancji i zajrzenia pod podszewkę politycznych haseł. Nie wystarczy przecież zapytać, czy dana formacja formalnie potępia rasizm, gdyż niemal każdy polityk odżegna

się od niego, zwłaszcza gdy występuje on w historycznym kostiumie. Prawdziwe wyzwanie polega na zbadaniu, czy partia nie wykorzystuje lęku przed obcym jako paliwa do napędzania swoich słupków poparcia w codziennej walce o głosy.

Współczesna analiza polityczna musi być niezwykle czujna, ponieważ nowoczesny rasizm rzadko posługuje się językiem otwartej nienawiści, wybierając zamiast tego maskę troski o dobro wspólne. Częściej słyszymy frazę „ja tylko zadaję pytania", która w teorii brzmi niewinnie, lecz w praktyce bywa naładowana niczym mina przeciwpiechotna, gotowa eksplodować w najmniej spodziewanym momencie. Kluczowe staje się rozróżnienie, czy politycy oddzielają migrantów od przestępców, uchodźców od agresorów, a religię islamu od terroryzmu. Różnica między tymi pytaniami to różnica między nauką społeczną a przesądem w marynarce, który pod płaszczem racjonalności skrywa stare, zakurzone uprzedzenia. Na polskiej scenie politycznej możemy dostrzec kilka odmiennych modeli odpowiedzi na te wyzwania, z których każdy niesie ze sobą specyficzne ryzyka i nadzieje dla przyszłości kraju.

Model liberalno-instytucjonalny, dominujący w dużej części Koalicji Obywatelskiej oraz administracji rządowej po 2023 roku, kładzie nacisk na praworządność i europejskie standardy. Jego fundamentem jest integracja instytucjonalna, czyli tworzenie przez państwo trwałych struktur kontaktu, takich jak wspólne szkoły czy centra wsparcia, co ma przekształcać emocjonalną gościnność w stabilny system. Siła tego podejścia tkwi w języku procedur, instytucji i odpowiedzialności publicznej, który próbuje oswoić lęk poprzez biurokratyczną poprawność i profesjonalizację państwa. Niemniej jednak, słabością tego modelu bywa pewna nieśmiałość aksjologiczna, sprawiająca, że liberalizm często przegrywa bitwę o zbiorową wyobraźnię z bardziej radykalnymi narracjami. Podczas gdy liberałowie mówią o „niedyskryminacji", ich przeciwnicy uderzają w czułe struny, roztaczając wizje zagrożenia dla bezpieczeństwa rodzin i domostw, co w polityce masowej ma znacznie większą siłę rażenia.

Z kolei model lewicowo-egalitarny, reprezentowany przez Lewicę i środowiska progresywne, wydaje się teoretycznie bliższy diagnozom Loury'ego i jego wrażliwości na nierówności. Formacje te chętnie operują pojęciami struktur, mowy nienawiści oraz solidarności z grupami stygmatyzowanymi, dostrzegając systemowy charakter uprzedzeń w naszym społeczeństwie. Lewica słusznie zauważa, że rasizm nie jest jedynie prywatną wadą charakteru, lecz może być głęboko zakorzeniony w mediach, edukacji czy rynku pracy. Problem polega jednak na tym, że ten słuszny aparat moralny rzadko udaje się przekuć w aparat większościowy, zdolny porwać tłumy i zmienić realny układ sił. Bywa, że ich język staje się hermetyczny i trafia głównie do przekonanych, zapominając, że stygmat nie zostaje pokonany na akademickim seminarium, lecz w codziennym starciu narracji.

Model konserwatywno-wspólnotowy, obecny w części Trzeciej Drogi czy umiarkowanego centrum, wnosi do debaty niezwykle istotny element języka lokalnej wspólnoty i samorządności. To podejście bywa skuteczne tam, gdzie abstrakcyjny antyrasizm budzi nieufność, a konkretne doświadczenie wspólnej pracy czy sąsiedztwa pozwala realnie osłabiać lęk przed nieznanym. Jednak i tutaj czai się pułapka w postaci paternalizmu, wyrażającego się w postawie: „przyjmiemy was, o ile staniecie się dokładnie tacy jak my". Loury przypomniałby nam w tym miejscu, że integracja nie może być jedynie eufemizmem dla asymilacyjnego egzaminu z wdzięczności, który mniejszości muszą zdawać każdego dnia. Jeśli warunkiem uznania drugiego człowieka jest całkowite porzucenie przez niego symbolicznej odrębności, to mamy do czynienia z warunkową tolerancją, która jest tylko elegancką poczekalnią do wykluczenia.

Model prawicowo-narodowy, widoczny w działaniach PiS oraz Konfederacji, stawia na absolutny prymat bezpieczeństwa, suwerenności kulturowej i ścisłej kontroli granic państwowych. Należy być tutaj precyzyjnym: sama chęć kontroli migracji nie jest rasizmem, a państwo ma niezbywalne prawo wiedzieć, kto przekracza jego terytorium i w jakim celu. Problem pojawia się jednak w praktyce, gdy ten model zaczyna produkować stygmat poprzez celowe mieszanie kategorii pojęciowych i budowanie reżimu znaczeń. Reżim znaczeń, czyli ramy narracyjne definiujące mniejszości jako obiekty zarządzania, sprawia, że cudzoziemiec staje się migrantem, migrant ryzykiem, a ryzyko wrogiem. W 2024 i 2025 roku widzieliśmy to w kampaniach takich jak „Stop Nielegalnej Migracji", gdzie lęk przed obcym był instrumentalnie wykorzystywany do celów politycznych, budując mur nieufności.

Granica między uprawnioną polityką bezpieczeństwa a destrukcyjną polityką stygmatu przebiega tam, gdzie kończy się troska o procedury, a zaczyna zbiorowe przypisywanie winy całej grupie. Indywidualizacja winy, będąca przywilejem grup większościowych, zostaje zawieszona, a przestępstwo jednostki staje się w tej narracji dowodem na winę całej zbiorowości. Jeżeli partia postuluje sprawne procedury azylowe i ochronę granic przed presją hybrydową, czyli instrumentalnym wykorzystywaniem migracji przez wrogie reżimy, porusza się w obszarze normalnej debaty. Jeśli jednak sugeruje, że muzułmanie z natury nie pasują do naszej kultury, a Ukraińcy nadużywają gościnności, to mamy do czynienia z produkcją stygmatu. W takim scenariuszu państwo przestaje pełnić rolę strażnika bezpieczeństwa, a staje się potężnym megafonem lęku, w którym mieści się cała mała metafizyka wykluczenia.

Ostatecznie musimy zrozumieć, jak działa sygnifikacja obcości, czyli proces nadawania cechom kulturowym lub religijnym znaczenia politycznego i hierarchicznego w przestrzeni publicznej. To właśnie poprzez ten mechanizm codzienne znaki, takie jak ubiór czy nazwisko, stają się w rękach polityków narzędziami wykluczenia i budowania symbolicznych murów. Antyrasizm bez sprawnej

administracji pozostaje jedynie kazaniem, ale administracja pozbawiona antyrasistowskiego kompasu staje się ślepa na ludzką krzywdę i systemową niesprawiedliwość. Stygmat nie potrzebuje dowodu, ponieważ w logice populizmu stygmat jest dowodem samym dla siebie, zamykając debatę tam, gdzie powinna się ona na dobre zacząć. Esencjalizm jest intelektualnym fast foodem polityki – syci szybko prymitywne instynkty, ale szkodzi tkance społecznej przez bardzo długi czas, pozostawiając po sobie zgliszcza zaufania.

Niewidzialny stygmat: dlaczego prawo nie widzi rasizmu

Współczesne dane instytucjonalne dobitnie pokazują, że problem przestępstw z nienawiści w Polsce nie jest jedynie fantazją kilku przewrażliwionych środowisk czy akademicką modą. Rzecznik Praw Obywatelskich regularnie występuje do Policji o statystyki, a z odpowiedzi za lata 2022–2024 wyłania się obraz setek stwierdzonych czynów oraz zatrzymanych podejrzanych. Nawet jeśli w 2026 roku RPO ponownie zapyta o efekty planu działań, wciąż będziemy widzieć zaledwie niewyraźny szkic rzeczywistości. To nie jest pełna mapa zjawiska, ponieważ tego typu incydenty bywają systemowo niedoszacowane, rzadko zgłaszane i niezwykle trudne pod względem dowodowym. Niemniej jednak te liczby stanowią wystarczający sygnał, by traktować problem jako realne zagrożenie społeczne, a nie importowany konstrukt teoretyczny. Z perspektywy Glenna Loury'ego kluczowe jest jednak to, czego żadne policyjne statystyki nie są w stanie uchwycić.

Prawo karne, ze swej natury reaktywne, dostrzega dopiero krzyk, fizyczne pobicie, bezpośrednią groźbę czy publiczne znieważenie. Pozostaje ono jednak całkowicie ślepe na codzienny proces obniżania statusu, który odbywa się w ciszy i w białych rękawiczkach. Nie widzi dziecka z ukraińskim akcentem, które przestaje zgłaszać się do odpowiedzi, bo rówieśnicy skutecznie nauczyli je, że jego mowa jest śmieszna. Nie dostrzega Romki, której wynajmujący odmawia mieszkania bez podania konkretnego powodu, ani czarnoskórego studenta pytanego po raz dziesiąty, skąd pochodzi naprawdę. W nim mieści się cała mała metafizyka wykluczenia, ukryta pod maską zwykłej ciekawości. Państwo ignoruje muzułmankę, której chusta staje się manifestem wrogości, oraz żydowskiego obywatela słyszącego, że rozmowa o antysemityzmie to interes obcego lobby.

Stygmat społeczny, czyli mechanizm przypisywania jednostkom negatywnych cech na podstawie ich przynależności grupowej, pracuje najskuteczniej w mikrogestach i niedopowiedzeniach. Państwo interweniuje zazwyczaj dopiero wtedy, gdy ten mikrogest gwałtownie przechodzi w jawną przemoc fizyczną. Przypomina to sytuację, w której lekarz uznaje chorobę pacjenta dopiero w dramatycznej chwili zatrzymania krążenia. Tu właśnie dotykamy fundamentalnego braku w

polskiej myśli politycznej, gdzie partie rzadko postrzegają rasizm jako realny problem rozwojowy. Zwykle redukują go one do kwestii wizerunkowej, prawnej, kryminalnej lub czysto moralnej. Polska nie chce uchodzić za kraj nietolerancyjny, więc dba o standardy konstytucyjne, ścigając najbardziej jaskrawe przestępstwa. To wszystko jest potrzebne, ale niewystarczające. Esencjalizm jest tani. Rozwój jest drogi.

Glenn Loury zapytałby retorycznie: czy polskie instytucje rozumieją pojęcie błędu rozwoju w kontekście marginalizowanych grup? Czy decydenci pojmują, że stygmat odcina ludzi od życiowych szans, zanim jeszcze formalnie staną oni do jakiejkolwiek uczciwej konkurencji? Nierówność nie zaczyna się przecież w momencie odmowy zatrudnienia, lecz znacznie wcześniej, w sieciach kontaktów i języku szkoły. Przejawia się ona w obrazie medialnym, kapitale zaufania, jakości dzielnicy oraz w codziennych relacjach z policją czy procedurach legalizacji pobytu. Wszystko sprowadza się do tego miękkiego, niemal niewidzialnego pytania: czy ta konkretna osoba jest rzeczywiście jedna z nas? Sygnifikacja obcości, czyli proces nadawania cechom fizycznym lub kulturowym znaczenia hierarchicznego, sprawia, że kompetencje schodzą na dalszy plan.

Konstrukcjonizm Loury'ego w naszych warunkach oznacza, że pojęcie rasy musi zostać poszerzone o analizę społecznych znaczników obcości właściwych dla Europy Środkowej. Polska nie posiada przecież tej samej historii co Stany Zjednoczone, nie miała transatlantyckiego niewolnictwa ani segregacji typu Jim Crow. Nie wypracowaliśmy tego samego, sformalizowanego kodu białej supremacji, co nie oznacza, że jesteśmy wolni od uprzedzeń. Esencjalizm jest intelektualnym fast foodem polityki. Syci szybko, szkodzi długo, uniemożliwiając rzetelną debatę o integracji. Brak amerykańskich wzorców rasizmu nie zwalnia nas z obowiązku dostrzegania własnych mechanizmów wykluczenia. Reżim znaczeń, czyli ramy narracyjne tworzone przez państwo, które definiują mniejszości jako współobywateli lub obiekty zarządzania, wciąż zbyt często opiera się u nas na podejrzliwości.

Polskie archiwa stygmatu: mechanizm samospełniającego się fałszu

Polska posiada własne, głęboko zakorzenione archiwa stygmatu, które nie są jedynie historycznym przypisem, lecz żywym skryptem wykluczenia. Dźwigamy bagaż antysemityzmu i antyromskości, spleciony z kolonialnymi fantazjami narodu, który kolonii nigdy nie posiadał, a jednak uprawiał własny paternalizm wobec Kresów. Ta złożona spuścizna obejmuje strukturalną nieufność wobec islamu oraz paradoksalny, jednoczesny lęk przed Wschodem i Zachodem. Po 2022 roku ten krajobraz skomplikowała jeszcze mieszanka autentycznej solidarności i narastającego zmęczenia

uchodźcami z Ukrainy. Granica polsko-białoruska stała się natomiast dramatycznym teatrem, w którym chłodny język bezpieczeństwa zderzył się z pytaniem o człowieczeństwo ludzi wypychanych na bagna i w procedury wyjątkowe.

Antyesencjalizm w polskich realiach wymaga wypowiedzenia prawdy tyleż oczywistej, co politycznie ryzykownej: żadna grupa narodowa ani religijna nie jest z natury niezdolna do praworządnego współżycia. Jeśli pojawiają się problemy integracyjne, należy badać architekturę instytucji, politykę mieszkaniową i rynek pracy, zamiast uciekać w leniwe uogólnienia o "ich" naturze. Esencjalizm jest intelektualnym fast foodem polityki; syci szybko, ale szkodzi długo, oferując proste odpowiedzi na skomplikowane pytania o społeczną kondycję. W nim mieści się cała mała metafizyka wykluczenia, która zwalnia nas z obowiązku rzetelnej analizy przyczyn ubóstwa czy traumy. Różnica między tymi podejściami to różnica między nauką społeczną a przesądem w marynarce, który udaje obiektywny opis rzeczywistości.

Stygmat rasowy w polskim wydaniu to zjawisko płynne, operujące na styku różnic kulturowych, etnicznych, a czasem czysto fenotypowych czy klasowych. Podczas gdy w amerykańskiej analizie Loury'ego "czarność" jest ucieleśnionym znaczeniem społecznym, w Polsce podobnie działa romskość, ukraińskość czy muzułmańskość. Pojawia się tu sygnifikacja obcości, czyli proces nadawania cechom kulturowym lub religijnym znaczenia hierarchicznego, co czyni podejrzanym nawet sam status uchodźcy. Czasem do uruchomienia mechanizmu wykluczenia wystarcza specyficzny akcent, brzmienie nazwiska lub informacja o zamieszkaniu w ośrodku dla cudzoziemców. Stygmat społeczny, czyli mechanizm przypisywania jednostkom negatywnych cech na podstawie ich przynależności grupowej, nie potrzebuje dowodu, ponieważ dla uprzedzonego oka stygmat jest dowodem samym dla siebie.

Mechanizm samospełniającego się stereotypu działa z niszczycielską precyzją na rynku pracy, w systemie edukacji oraz w obszarze polityki bezpieczeństwa. Jeśli pracodawca zakłada, że migranci stanowią jedynie tanią siłę roboczą, nie inwestuje w ich awans zawodowy ani stabilność zatrudnienia. Następnie, obserwując brak rozwoju tych pracowników, utwierdza się w przekonaniu, że "oni" nadają się wyłącznie do najprostszych prac fizycznych. Podobnie dzieje się w szkole, gdy dzieci cudzoziemskie traktuje się jako przejściowy problem organizacyjny, a nie jako przyszłych, pełnoprawnych obywateli. Integracja instytucjonalna, czyli tworzenie przez państwo trwałych struktur kontaktu w szkołach i miejscach pracy, jest jedyną odtrutką na te uprzedzenia, które inaczej stają się trwałą etykietą odmienności.

W sferze bezpieczeństwa, gdy policja lub straż graniczna widzi w określonej grupie przede wszystkim ryzyko, kontakt z państwem staje się dla niej doświadczeniem lęku. Ta instytucjonalna podejrzliwość zmusza mniejszości do unikania organów władzy, co państwo interpretuje później

jako brak woli współpracy i dowód na izolacjonizm. W ten sposób fałszywe założenie staje się socjologicznym samospełnieniem, budując mury tam, gdzie mogłyby powstać mosty porozumienia. Antyrasizm bez administracji jest kazaniem, natomiast administracja bez antyrasizmu pozostaje ślepa na własne, wykluczające mechanizmy. Sprawiedliwość rasowa w Polsce nie może jednak oznaczać bezkrytycznego kopiowania amerykańskich kategorii, bo Warszawa to nie Atlanta, a Podlasie to nie Alabama. Byłaby to intelektualna turystyka z biletem w jedną stronę do banału, ignorująca unikalny splot naszych lokalnych uprzedzeń.

Loury daje nam narzędzia translacji, a nie gotową kalkę, zmuszając do pytania, jakie ciała i kultury zostają w Polsce obciążone negatywnym znaczeniem. Nauki społeczne dowodzą, że uprzedzenia to nie tylko jawna wrogość, ale przede wszystkim automatyczne kategoryzacje i nierówności w akumulacji kapitału kulturowego. Ekonomia instytucjonalna dodaje, że rynek nie jest sterylnym laboratorium talentów, lecz premiuje tych, którzy posiadają rozpoznawalne sygnały wiarygodności i szerokie sieci kontaktów. Prawo, choć wprowadza formalne zakazy dyskryminacji, nie rozwiązuje problemu dostępu do procedur ani lęku przed retorsją ze strony silniejszych. Antropologia przypomina wreszcie, że obcość nie jest faktem biologicznym, lecz relacją symboliczną, a wyobrażenie "normalnego Polaka" to konstrukcja, a nie opis natury.

Poza procedury: dlaczego Polska potrzebuje polityki antystygmatyzacyjnej

Pytanie o kondycję polskich partii politycznych wymaga dziś gruntownego przeformułowania, gdyż nie wystarczy już badać, czy w ich programach figurują odpowiednie zapisy przeciwko rasizmowi. Kluczowe staje się bowiem rozstrzygnięcie, czy formacje te budują w Polsce reżim znaczeń, czyli ramy narracyjne definiujące mniejszości jako współobywateli, a nie jedynie obiekty zarządzania. Program równego traktowania jest oczywiście potrzebny, a ściganie przestępstw z nienawiści pozostaje absolutnie konieczne, niemniej są to zaledwie techniczne narzędzia w rękach władzy. Strategia integracyjna jawi się jako postulat pilny, lecz może ona ponieść klęskę, jeśli partie będą codziennie karmić społeczeństwo opowieścią o obcym jako koszcie. W takim układzie mniejszości stają się jedynie problemem do rozwiązania, a nie żywą tkanką wspólnoty, co ostatecznie koroduje fundamenty nowoczesnego państwa demokratycznego. Esencjalizm jest intelektualnym fast foodem polityki – syci szybko, ale szkodzi długo, niszcząc zdolność społeczeństwa do empatii i racjonalnego dialogu.

Wprowadzenie myśli Glenna Loury’ego do polskiej debaty publicznej mogłoby posłużyć jako swoisty test trzech pytań, obnażający głębsze warstwy politycznej i społecznej hipokryzji. Po

pierwsze, należy zapytać, czy dana polityka jest jedynie ślepa proceduralnie, czy może pozostaje cynicznie obojętna moralnie na realne skutki dotykające grupy stygmatyzowane. Po drugie, warto sprawdzić, czy partia zwalcza dyskryminację w kontraktach, lecz jednocześnie ignoruje ją w codziennych kontaktach sąsiedzkich, edukacyjnych i nieformalnych sieciach uznania. Trzecie pytanie dotyczy języka: czy używane sformułowania rozbrajają stygmat społeczny, czyli mechanizm przypisywania negatywnych cech grupom postrzeganym jako gorsze, czy może go monetyzują? W brutalnej grze politycznej stygmat bywa bowiem niezwykle poręczną walutą, która przynosi szybki zysk wyborczy, choć płaci się za niego cudzą godnością. Odsetki od tego długu spłacać będzie potem całe państwo, borykając się z narastającą nieufnością, izolacją oraz rozpadem elementarnych więzi międzyludzkich.

Na tym fundamencie opiera się pierwsza teza tego eseju: Polska potrzebuje nie tylko sprawnej polityki antydyskryminacyjnej, lecz przede wszystkim głębokiej polityki antystygmatyzacyjnej. Podczas gdy antydyskryminacja pilnuje, by człowieka nie potraktowano gorzej w konkretnej procedurze urzędowej, antystygmatyzacja pyta, dlaczego w ogóle uznano go za kogoś podejrzanego. Pierwsza z tych sfer ma charakter czysto prawniczy, druga zaś jest wyzwaniem cywilizacyjnym, dotykającym samych korzeni naszej zbiorowej wyobraźni i tożsamości. Jedna ściga konkretny czyn, druga natomiast stara się rozbroić wyobraźnię, która te czyny przygotowuje i legitymizuje w oczach szerokiej opinii publicznej. Polska, jako kraj lubiący postrzegać siebie w roli ofiary cudzej pogardy, powinna szczególnie uważać, by nie reprodukować tych samych mechanizmów wobec innych. Naród, który zna smak stygmatu, nie otrzymuje wszak automatycznie szczepionki przeciwko wykluczaniu, a czasem wręcz przeciwnie – potrafi przekazać ranę dalej.

Loury zasugerowałby zapewne, abyśmy przestali pytać wyłącznie o to, co „oni” muszą zrobić, by stać się częścią „nas”, a zaczęli analizować własne bariery. Powinniśmy zastanowić się, co sami musimy zmienić, by słowo „my” przestało przypominać ekskluzywny klub z surowym selekcjonerem stojącym przy wejściu. Kluczowym elementem tej zmiany jest zrozumienie sygnifikacji obcości, czyli procesu nadawania cechom kulturowym lub religijnym głębokiego znaczenia politycznego i hierarchicznego. Scena polityczna nie jest przecież seminarium z etyki normatywnej, lecz dynamicznym rynkiem narracji, interesów, afektów oraz głęboko zakorzenionych lęków społecznych. Partie nie tylko rozwiązują istniejące problemy, ale przede wszystkim posiadają władzę definicyjną, która pozwala im wskazywać, co w ogóle za problem uznamy. W sprawach rasizmu i ksenofobii ta zdolność kreowania znaczeń jest często znacznie ważniejsza niż jakakolwiek pojedyncza ustawa, rozporządzenie czy deklaracja.

Można bowiem z dumą uchwalić program przeciw dyskryminacji, prowadząc równocześnie kampanię, która w wyobraźni zbiorowej trwale skleja migranta z obrazem zagrożenia lub

przestępcy. Taka sytuacja to klasyczna mechanika stygmatu, w której państwo jedną ręką naprawia procedury, a drugą produkuje znaczenia zatruwające te same mechanizmy prawne. W tym procesie znika indywidualizacja winy, czyli przywilej grup większościowych, w którym przestępstwo jednostki jest traktowane jako odosobniony przypadek, a nie cecha zbiorowości. Polskie państwo dysponuje wprawdzie formalnym minimum antyrasistowskim, zapisanym w Konstytucji chroniącej godność człowieka oraz wolność sumienia wszystkich obywateli i mieszkańców. Kodeks karny penalizuje publiczne nawoływanie do nienawiści oraz znieważanie ze względu na narodowość, pochodzenie etniczne, rasę czy wyznanie religijne jednostki. Istnieje ustawa o mniejszościach narodowych i etnicznych, a nad przestrzeganiem tych norm czuwa Rzecznik Praw Obywatelskich jako konstytucyjny organ interwencji.

Przyjęto również Krajowy Program Działań na rzecz Równego Traktowania na lata 2022–2030, który obejmuje walkę ze szkodliwymi stereotypami oraz szeroką edukację antydyskryminacyjną. To jest warstwa formalna, której nie wolno nam lekceważyć, niemniej nie powinniśmy jej także niebezpiecznie fetyszyzować jako ostatecznego rozwiązania problemu wykluczenia. W języku Loury'ego jest to głównie obszar walki z dyskryminacją w kontraktach, czyli w sformalizowanych relacjach jednostki z pracodawcą lub urzędem. Państwo słusznie deklaruje, że nie wolno traktować nikogo gorzej z powodu pochodzenia, wszak taki fundament jest niezbędny dla funkcjonowania nowoczesnego społeczeństwa. Niemniej jednak sam fundament nie stanowi jeszcze domu, a antyrasizm ustawowy jest jedynie warunkiem koniecznym, lecz zdecydowanie niewystarczającym do budowy kultury. W Polsce łatwo pomylić istnienie przepisów z realną zmianą postaw, co przypomina uznanie obecności gaśnicy za dowód, że budynek jest ognioodporny.

Prawdziwym wyzwaniem pozostaje dyskryminacja w kontaktach, czyli w nieformalnych sieciach sąsiedzkich, gdzie stygmat społeczny działa najsilniej i najbardziej boleśnie dla jednostki. Stygmat nie potrzebuje dowodu, gdyż stygmat jest dowodem samym dla siebie, co czyni go narzędziem niezwykle trudnym do zwalczenia metodami prawnymi. Najważniejsze pytanie brzmi zatem: czy polskie elity chcą jedynie zakazać brutalnych form nierównego traktowania, czy rozumieją głębię problemu, jakim jest stygmatyzacja? Dyskryminacja jest konkretnym czynem, który można zaskarżyć, natomiast stygmat to matryca czynów, ukryta głęboko w strukturze społecznego postrzegania i kategoryzowania rzeczywistości. Dyskryminacja mówi: „nie przyjmę cię do pracy", podczas gdy stygmat szepcze znacznie wcześniej, że tacy jak ty po prostu się do tego nie nadają. Podczas gdy dyskryminacja zostawia ślad w dokumentach, stygmat pozostawia jedynie dojmujące zmęczenie człowieka, który musi nieustannie udowadniać swoją elementarną normalność.

W tej perspektywie Koalicja Obywatelska oraz obecne centrum rządowe jawią się jako przypadek wysoce ambiwalentny i trudny do jednoznacznej, chłodnej oceny analitycznej. Z jednej strony ich

język częściej odwołuje się do praworządności i standardów europejskich, co buduje niezbędny język procedur oraz odpowiedzialności administracji publicznej. Liberalno-instytucjonalny model ma realną wartość, gdyż pozwala na współpracę z organizacjami społecznymi oraz ekspertami w celu wdrażania standardów w policji i urzędach. Z drugiej jednak strony, po 2024 roku centrum rządowe wyraźnie przesunęło akcenty w stronę narracji o twardym bezpieczeństwie i ścisłej kontroli granic. Strategia migracyjna na lata 2025–2030, zatytułowana „Odzyskać kontrolę. Zapewnić bezpieczeństwo", stawia te pojęcia w samym centrum zainteresowania i działań państwa polskiego. Samo dążenie do kontroli nie jest podejrzane, gdyż państwo naiwne w kwestii migracji to państwo proszące się o przyszły, głęboki kryzys polityczny.

Problem polega jednak na zachowaniu odpowiednich proporcji między wymogami bezpieczeństwa a ochroną godności ludzkiej i praw podstawowych każdej jednostki, niezależnie od pochodzenia. Jeśli integracja i antyrasizm stają się jedynie przypisami do narracji o zagrożeniu, strategia może nieświadomie wzmacniać stygmat migranta jako źródła ryzyka. W tym kontekście pojawia się zjawisko presji hybrydowej, czyli instrumentalnego wykorzystywania migracji przez autorytarne reżimy, co stanowi realne wyzwanie dla bezpieczeństwa narodowego. Rzecznik Praw Obywatelskich zgłaszał jednak poważne wątpliwości dotyczące możliwości czasowego zawieszania prawa do składania wniosków azylowych w ramach nowej strategii rządowej. Organizacje społeczne krytykowały dokument za zbyt słabe uwzględnienie perspektywy praw człowieka oraz marginalizację roli instytucjonalnej integracji w procesie budowania spójnego społeczeństwa. Różnica między tymi pytaniami to różnica między nauką społeczną a przesądem w marynarce, który wciąż zbyt często dyktuje warunki debaty.

Integracja instytucjonalna, czyli tworzenie trwałych struktur kontaktu w szkołach i miejscach pracy, jest wszak kluczem do przekształcenia emocjonalnej gościnności w stabilny system współistnienia. Bez tego fundamentu polityka państwa ryzykuje utknięcie w martwym punkcie, gdzie procedury chronią, ale język polityczny nieustannie rani, wyklucza i stygmatyzuje. Antyrasizm bez sprawnej administracji jest jedynie pobożnym kazaniem, ale administracja bez autentycznego antyrasizmu pozostaje ślepa na ludzkie cierpienie oraz systemową niesprawiedliwość. Musimy zatem dążyć do modelu, w którym państwo nie tylko pilnuje litery prawa, ale aktywnie kształtuje kulturę szacunku i wzajemnego uznania. Tylko wtedy uda nam się wyjść poza sferę czystych procedur i zbudować wspólnotę, w której stygmat przestanie być narzędziem politycznej walki i społecznej segregacji. W nim mieści się cała mała metafizyka wykluczenia, którą musimy wspólnie zrozumieć i odrzucić, jeśli chcemy pozostać społeczeństwem otwartym i sprawiedliwym.

Pułapki integracji: między stygmatem a miękkim asymilacjonizmem

Glenn Loury, z właściwą sobie analityczną precyzją, z pewnością nie odrzuciłby troski o bezpieczeństwo jako błahej czy nieistotnej. Jego aparat pojęciowy nie jest przecież naiwną, dziecięcą pochwałą bezgranicznej otwartości, która ignoruje realia współczesnej państwowości. Zapytałby on jednak natychmiast o ukryty rachunek moralny, jaki wystawiamy w imię politycznego komfortu zaklętego w słowie „kontrola". Czy ten koszt ponoszą wyłącznie bezwzględni przemytnicy ludzi i agencje żerujące na nieszczęściu, czy może płacą go również ci, którzy uciekają przed bombami i katastrofą? W tym pytaniu mieści się cała mała metafizyka wykluczenia, gdzie żywy człowiek zostaje sprowadzony do roli bezosobowej masy nacisku.

Gdy liberalne centrum przejmuje język bezpieczeństwa, zapominając o równie silnym słowniku człowieczeństwa, nie staje się ono automatycznie siedliskiem rasizmu. Ryzykuje jednak coś niemal równie groźnego: rolę chłodnego administratora cudzej dehumanizacji, czyli procesu odzierania jednostek z ich ludzkich cech. W polityce bowiem czasem wystarczy być jedynie sprawnym urzędnikiem, by gorący stygmat społeczny, ten mechanizm przypisywania negatywnych cech grupom, wykonał swoją niszczycielską pracę. Reżim znaczeń, czyli ramy narracyjne definiujące mniejszości jako obiekty zarządzania, zaczyna wówczas pracować na pełnych obrotach. To właśnie w tych biurokratycznych trybach gubi się podmiotowość osób, które miały być chronione przez demokratyczne państwo.

Lewica w tym sporze wydaje się najbliższa słownikowi antydyskryminacyjnemu, operując pojęciami mowy nienawiści, nierówności strukturalnych czy przemocy symbolicznej. Jej intuicja trafia w sedno diagnozy Loury'ego: sama neutralność państwa to zdecydowanie za mało, gdy punktem wyjścia jest historycznie nierówny status grup. Lewica doskonale rozumie, że polityka „niewidzenia" różnicy bywa często najbardziej wyrafinowaną formą jej utrwalania w tkance społecznej. Można wszak nie dostrzegać rasy czy pochodzenia dokładnie wtedy, gdy ich społeczne skutki powinny zostać zobaczone najostrzej. Słabość tej formacji polega jednak na tym, że jej język, choć normatywnie słuszny, bywa politycznie zbyt wąski i hermetyczny.

Potrafi ona wprawdzie bezbłędnie nazwać stygmat, lecz nie zawsze umie przekonać do siebie ludzi, którzy ten stygmat noszą głęboko w sobie. Nie robią tego z nienawiści, lecz z lęku, przyzwyczajenia czy doświadczenia lokalnego chaosu i ekonomicznej niepewności. Dla wielu obywateli poczucie utraty kontroli nad własnym otoczeniem nie jest ideologią, ale codziennym, dojmującym stanem ducha. Loury byłby tu zapewne surowy wobec obu stron politycznej barykady, wytykając im brak empatii dla odmiennych lęków. Prawicy powiedziałby stanowczo: nie wolno robić z obcego

kontenera na wasz strach, bo to droga do moralnej katastrofy. Lewicę zaś ostrzegłby, że nie wygra się z potężną konstrukcją stygmatu samym tylko słownikiem moralnego potępienia.

Zamiast tego należy budować alternatywną teorię wspólnego interesu, która wykracza poza proste podziały na „my" i „oni". Hasło „toniemy lub płyniemy razem" nie jest przecież przejawem naiwnej dobroczynności, lecz twardą diagnozą polityczno-ekonomiczną naszych czasów. Polska 2050 oraz PSL reprezentują w tym kontekście model bardziej umiarkowany, pragmatyczny i silnie osadzony w etosie samorządowym. W swojej najlepszej wersji może on wnieść do debaty to, czego często brakuje abstrakcyjnym formułom: bliskość lokalnego doświadczenia. Integracja instytucjonalna, czyli tworzenie trwałych struktur kontaktu, nie dzieje się przecież w ministerialnych raportach, lecz w szkole, przychodni czy na lokalnym rynku.

To właśnie tam, w codziennym znoju, rozstrzyga się, czy cudzoziemiec stanie się sąsiadem z imieniem, czy pozostanie jedynie kategorią z telewizyjnego paska. Model ludowo-samorządowy mógłby być znakomitym narzędziem antystygmatyzacji, gdyby potraktował równość jako warunek spójności lokalnej, a nie importowany projekt. Gmina, która potrafi mądrze włączyć dzieci ukraińskie czy wietnamskie do lokalnej szkoły, nie realizuje żadnej „ideologii", lecz po prostu zabezpiecza własną przyszłość. Niemniej jednak ten model niesie ze sobą własną, niezwykle podstępną pułapkę, którą można nazwać miękkim asymilacjonizmem. Sugeruje on: możesz u nas zostać, pod warunkiem, że nie będziesz zbyt widoczny i szybko nauczysz się naszych kodów.

Loury ostrzegałby, że taka polityka jedynie usuwa konflikt z powierzchni, lecz w żadnym razie nie rozwiązuje głębokiego problemu stygmatu. Jeżeli obcy może zostać zaakceptowany tylko jako postać wyciszona, wdzięczna i stale zdająca egzamin z dopasowania, to nie mamy do czynienia z równością. Mamy wówczas jedynie gościnność z datą ważności, która wygasa przy pierwszym poważniejszym nieporozumieniu. PiS oraz szerzej pojęta prawica narodowo-konserwatywna opierają swój przekaz na bezpieczeństwie, suwerenności i ochronie kultury większościowej. Trzeba tutaj jednak bardzo precyzyjnie rozróżnić dwie kwestie, bo bez tego nasza analiza stanie się jedynie publicystyką uprawianą za pomocą ciężkiej pałki.

Należy wziąć pod uwagę zjawisko, jakim jest presja hybrydowa, czyli instrumentalne wykorzystywanie migracji przez autorytarne reżimy w celu destabilizacji sąsiadów. Jest to realne wyzwanie dla bezpieczeństwa państwa, którego nie wolno mylić z uprzedzeniami rasowymi, choć granica ta bywa często celowo zacierana. Sygnifikacja obcości, proces nadawania cechom kulturowym znaczenia politycznego, sprawia, że lęk przed agresją państwa przenosi się na konkretnych ludzi szukających schronienia. Indywidualizacja winy, ten przywilej grup większościowych, znika tutaj całkowicie, a czyn jednostki zaczyna obciążać całą zbiorowość.

Esencjalizm jest intelektualnym fast foodem polityki – syci szybko, ale szkodzi długo, uniemożliwiając rzetelną ocenę sytuacji.

Polityka stygmatu: jak partie zamieniają problemy w naturę grupy

Państwo posiada niezbywalny obowiązek ochrony granic, kontrolowania legalności pobytu oraz aktywnego przeciwdziałania handlowi ludźmi, co stanowi fundament elementarnego bezpieczeństwa. Polska, stając w obliczu presji hybrydowej na granicy z Białorusią – czyli instrumentalnego wykorzystywania migracji przez autorytarne reżimy w celu destabilizacji sąsiadów – doświadczyła wyzwania, którego nie wolno lekceważyć jako ksenofobicznego urojenia. To realny konflikt suwerenności wymagający twardych odpowiedzi, niemniej właśnie w takich momentach język debaty publicznej musi zachować chirurgiczną precyzję. Gdy granica między ochroną terytorium a dehumanizacją przybysza ulega zatarciu, merytoryka ustępuje miejsca ideologicznemu spektaklowi. W nim mieści się cała mała metafizyka wykluczenia, gdzie konkretny problem administracyjny zastępuje lęk przed ontologiczną obcością.

Kiedy partia przekształca realne zagrożenie instrumentalizacją migracji w systemową podejrzliwość wobec migrantów jako takich, dokonuje przejścia od polityki bezpieczeństwa do polityki stygmatu. Kampania „Stop nielegalnej migracji” operuje lękiem przed przemocą i utratą kulturowej spójności, nie podejmując trudu odróżnienia ludzi w potrzebie od sprawców zagrożeń. Przy czym tworzy to mechanizm poznawczy znany jako specyfikacja stygmatyzująca, w której fakty stają się elementami ramy interpretacyjnej, a każdy obcy jawi się jako anomalia. PiS w 2024 roku, inicjując tę akcję, konsekwentnie odwoływał się do poczucia zagrożenia gospodarczego, budując narrację oblężonej twierdzy. Konfederacja w 2025 roku poszła dalej, organizując protesty pod hasłem „Stop imigracji! Chcemy żyć bezpiecznie!”, postulując radykalne ograniczenia praw uchodźców.

Formacja ta stanowi z punktu widzenia Glenna Loury’ego przypadek frapujący, gdyż łączy wolnorynkowy indywidualizm z etnonarodowym lękiem przed zmianą kulturową. Z jednej strony słyszymy tam język wolności jednostki, z drugiej zaś operuje się zbiorowymi, niemal plemiennymi obrazami zagrożenia płynącego z zewnątrz. Wszak to swoisty paradoks liberalizmu pozbawionego antyesencjalizmu: jednostka pozostaje święta tylko do momentu, w którym nie zostanie odczytana jako reprezentant podejrzanej kategorii. Wtedy nagle, pod płaszczem nowoczesnych haseł, powraca myślenie grupowe, które unieważnia indywidualne biografie na rzecz zbiorowego piętna. Polskie partie prawicowe często odpierają zarzuty o rasizm, twierdząc, że ich opór dotyczy kultury lub

religii, a nie koloru skóry. Choć bywa to prawdą, granica między troską o spójność a wykluczeniem pozostaje niezwykle cienka.

Problem tkwi w tym, że współczesny rasizm przesunął swój środek ciężkości z biologii na kulturę, co czyni go trudniejszym do uchwycenia. Nie mówi się już o gorszej krwi, lecz o niekompatybilnej kulturze, a kolor skóry zastępuje się argumentem o obyczajach rzekomo niemożliwych do pogodzenia z naszą cywilizacją. Oczywiście, liberalne państwo ma pełne prawo krytykować praktyki naruszające prawa człowieka, takie jak przemoc wobec kobiet czy fundamentalizm religijny. Niemniej musi to robić, piętnując konkretne zachowania, a nie esencjalizując całe grupy ludzi. Syci szybko, szkodzi długo. Loury oferuje nam tutaj instrument chirurgiczny: pozwala oddzielić uzasadnioną krytykę czynów od stygmatyzacji osób ze względu na ich pochodzenie.

Antyesencjalizm nie jest wezwaniem do naiwnej ślepoty na trudności, lecz wymaganiem, by nie zamieniać problemów społecznych w rzekomą naturę danej grupy. Jeśli w określonej społeczności pojawiają się bariery integracyjne, należy pytać o status prawny, traumy wojenne, izolację mieszkaniową czy bariery na rynku pracy. Esencjalista z łatwością stwierdzi, że oni się nie integrują, bo tacy już są, co zamyka dyskusję i zwalnia państwo z odpowiedzialności. Lourysta natomiast zapyta o konkretne mechanizmy, bodźce i sieci kontaktu, które determinują ludzkie wybory i możliwości adaptacyjne. Pierwsze podejście jest politycznie wygodne, drugie zaś jest naukowo uczciwe i jako jedyne daje szansę na skuteczne rozwiązania. Esencjalizm jest tani. Rozwój jest drogi.

Dane instytucjonalne, w tym raporty Rzecznika Praw Obywatelskich, od lat wskazują na głębokie niedoszacowanie przestępstw z nienawiści w Polsce. Badania sugerowały, że ogromna część osób z Afryki Subsaharyjskiej czy wyznawców islamu mogła doświadczyć agresji, która nigdy nie trafiła do oficjalnych statystyk. Stygmat działa bowiem również przez milczenie: osoba, która nie ufa instytucjom, nie zgłasza napaści, co pozwala politykom twierdzić, że problemu nie ma. Powstaje klasyczny feedback loop, czyli pętla sprzężenia zwrotnego, w której brak zgłoszeń cementuje bierność państwa, a bierność państwa pogłębia nieufność ofiar. Loury uśmiechnąłby się tutaj gorzko, widząc, jak zamiast rzetelnych wykresów otrzymujemy milczącą rezygnację i siniaki, których nikt nie chce policzyć.

Polskie partie polityczne zbyt rzadko przekładają antyrasistowskie deklaracje na konkretną infrastrukturę integracyjną, która mogłaby realnie zarządzać różnorodnością. Reżim znaczeń, czyli ramy narracyjne definiujące mniejszości, wciąż zbyt często opiera się na podejrzliwości zamiast na budowaniu podmiotowości nowych mieszkańców. Wszak wyjątkiem była reakcja na kryzys uchodźczy po 2022 roku, kiedy to Polska pokazała bezprecedensową zdolność do solidarności z obywatelami Ukrainy. Miliony ludzi otrzymały wówczas dostęp do rynku pracy i edukacji, co

udowodniło, że integracja instytucjonalna – tworzenie trwałych struktur kontaktu – jest możliwa. To historyczne osiągnięcie pokazuje, że potrafimy wyjść poza logikę stygmatu, o ile tylko zechcemy dostrzec w drugim człowieku kogoś więcej niż tylko statystyczne zagrożenie.

Jak polityka może skutecznie rozbrajać archipelag stygmatów?

Nawet w momentach największych zrywów serca pojawia się ryzyko stygmatu wtórnego, czyli zjawiska, w którym pierwotna pomoc przekształca się w niechęć i zmęczenie obecnością Innego. Solidarność pozbawiona mądrej polityki integracyjnej, rozumianej jako systemowe włączanie nowych osób do tkanki społecznej, nieuchronnie ulega erozji pod ciężarem codziennych uciążliwości. Słyszymy wtedy oskarżenia o rzekome uprzywilejowanie przybyszów, narracje o nadużyciach socjalnych czy lęki o konkurencję w kolejkach do lekarza i szkół. Gościnność, która nie została przekształcona w trwałą instytucję, z czasem zaczyna męczyć gospodarza i upokarzać gościa, stając się źródłem obustronnej frustracji. Prawdziwa pomoc wymaga bowiem czegoś więcej niż emocjonalnego impulsu; wymaga struktur, które zdejmą ciężar z barków jednostek. Bez nich najszlachetniejszy odruch zamienia się w polityczne paliwo dla populistów.

Sytuacja staje się jeszcze trudniejsza w przypadku grup, które nie mogą liczyć na tak wysoki kapitał empatii, jaki słusznie otrzymali uchodźcy z Ukrainy. Romowie wciąż mierzą się w Polsce z jednym z najtrwalszych stygmatów europejskich, gdzie antyromskość bywa społecznie tolerowana i maskowana niewinnym żartem lub rzekomym realizmem. Żydzi z kolei funkcjonują w polskiej wyobraźni zbiorowej w bolesnym rozkroku między pamięcią o Zagładzie a fantazmatami o ukrytych wpływach i roszczeniach. Muzułmanie, nawet jeśli są cenionymi lekarzami czy studentami, bywają postrzegani wyłącznie przez pryzmat globalnych konfliktów i lęku przed terroryzmem. To klasyczny przykład sygnifikacji obcości, czyli procesu nadawania cechom kulturowym lub religijnym znaczenia politycznego i hierarchicznego, co uniemożliwia dostrzeżenie w drugim człowieku sąsiada. W tym reżimie znaczeń jednostka znika, a jej miejsce zajmuje groźna abstrakcja.

Osoby czarnoskóre doświadczają w naszym kraju paradoksu jednoczesnej widzialności i niewidzialności: są dostrzegane jako „inne ciało", lecz pomijane jako pełnoprawny element polskiej wspólnoty. Azjaci bywają redukowani do bezpiecznych, ale spłycających stereotypów pracowitości, egzotycznej kuchni lub hermetycznych wspólnot, co skutecznie blokuje ich realną podmiotowość polityczną. Z kolei Białorusini i Rosjanie coraz częściej są filtrowani przez gęste sito geopolityki, co bywa zrozumiałe jako ostrożność państwa, lecz staje się niebezpieczne jako zbiorowe podejrzenie. Partie polityczne rzadko potrafią nazwać te subtelne różnice, uciekając w bezpieczne ogólniki o

tolerancji lub równie ogólne hasła o bezpieczeństwie granic. Tymczasem antystygmatyzacja wymaga chirurgicznej precyzji, a nie szerokiego pędzla, którym maluje się ideologiczne murale. Każdy z tych lęków ma inną genezę i wymaga innej odtrutki.

Mechanizm antysemityzmu różni się od mechanizmu antyromskości, a lęk przed migracją z Afryki ma inne korzenie niż stereotypizacja Wietnamczyków czy Gruzinów. Jedna kampania społeczna z hasłem „bądźmy dla siebie mili" nie rozbroi całego archipelagu stygmatów, który narastał przez dekady w naszej kulturze. To trochę tak, jakby próbować leczyć wszystkie choroby zakaźne jednym plakatem z napisem „zdrowie jest ważne", licząc na to, że bakterie wzruszą się z wdzięczności. Dlatego partie polityczne powinny zostać poddane surowej ocenie według czterech konkretnych kryteriów, które wykraczają poza sferę deklaracji. Pierwszym z nich jest kryterium prawne, badające, czy formacja wzmacnia ochronę przed dyskryminacją, czy może systematycznie osłabia instytucje równościowe. Esencjalizm jest intelektualnym fast foodem polityki – syci szybko, ale w dłuższej perspektywie niszczy organizm państwowy.

Drugie to kryterium językowe, sprawdzające, czy komunikaty liderów rozbrajają szkodliwe stereotypy, czy raczej elektryzują je jak akumulator tuż przed gorącym okresem wyborczym. Trzecie, kryterium rozwojowe, dotyczy budowania realnego dostępu mniejszości do edukacji, rynku pracy, mieszkań oraz ochrony zdrowia i uznania ich kwalifikacji zawodowych. Na poziomie prawnym Polska wciąż potrzebuje sprawniejszego rozpoznawania przestępstw motywowanych uprzedzeniami oraz lepszego szkolenia policji, prokuratury i niezawisłych sędziów. Rzecznik Praw Obywatelskich wielokrotnie sygnalizował wagę takich działań, wskazując choćby na współpracę z Muzeum POLIN w zakresie edukacji o współczesnym antysemityzmie. To jest właśnie praktyczna polityka antystygmatyzacyjna, o ile nie kończy się na kolorowej broszurze, lecz realnie zmienia wzory działania państwowych instytucji. Słowa polityków nie są tylko ozdobnikiem, lecz przygotowują przestrzeń dla konkretnych czynów.

Polityk, który stale operuje metaforami „zalewu", „inwazji" czy „pasożytów socjalnych", może potem cynicznie umywać ręce, gdy na ulicy dochodzi do fizycznej agresji. Jednak z perspektywy socjologicznej taka niewinność jest intelektualnie nie do utrzymania, ponieważ stygmat nie rodzi się wyłącznie w prywatnej duszy sprawcy. Jest on społecznie dystrybuowany przez liderów opinii, którzy pełnią rolę hurtowników znaczeń, narzucających ramy interpretacyjne całej reszcie społeczeństwa. Na poziomie rozwojowym partie powinny przestać mówić o „tolerowaniu odmienności", a zacząć dbać o instytucjonalne warunki uczestnictwa wszystkich mieszkańców w życiu publicznym. Dzieci cudzoziemskie potrzebują realnej nauki języka i wsparcia asystentów międzykulturowych, a nie bycia traktowanymi jako uciążliwy problem dla dyrekcji szkoły. Dorośli

migranci wymagają przejrzystej legalizacji pobytu i ochrony przed wyzyskiem, co buduje ich lojalność wobec nowego państwa.

Czwarte kryterium, obywatelskie, zmusza nas do pytania, czy polskość jest kategorią etnicznej dziedziczności, czy może raczej politycznej współodpowiedzialności za wspólne dobro. To pytanie bywa drażliwe, gdyż narody mają swoją historię, symbole i prawo do zachowania ciągłości kulturowej, której nie wolno lekceważyć. Jednak naród demokratyczny nie może być zamrożonym albumem rodzinnym, do którego nikt nowy nie ma prawa dopisać swojej własnej strony. Jeżeli Polska stała się krajem imigracyjnym, musi nauczyć się polskości instytucjonalnie gościnnej, a nie tylko etnograficznie rozczulonej nad własną przeszłością. Integracja instytucjonalna, czyli tworzenie trwałych struktur kontaktu w szkołach i miejscach pracy, przekształca nietrwałą gościnność w stabilny system współistnienia. Antyrasizm bez sprawnej administracji pozostaje jedynie kazaniem, a administracja bez antyrasizmu staje się ślepa na ludzką krzywdę.

Polska droga do integracji: między stygmatem a obywatelstwem

Wspólnota polityczna, jeśli ma aspirować do miana dojrzałej, powinna posiadać rzadką umiejętność przyjmowania nowych uczestników bez wymuszania na nich swoistego symbolicznego samounicestwienia. W tym miejscu warto przywołać głosy krytyczne wobec koncepcji Glenna Loury'ego, które rzucają światło na polskie dylematy integracyjne. Pierwszy nurt to klasyczny liberalny indywidualizm oraz doktryna colorblindness, czyli przekonanie, że sprawiedliwe państwo powinno konsekwentnie ignorować rasę, by nie utrwalać kategorii, które pragnie przezwyciężyć. W polskim wydaniu argument ten brzmi znajomo: nie dzielmy obywateli na grupy, nie importujmy obcych nam kulturowo sporów zza oceanu i traktujmy każdego wyłącznie jako autonomiczną jednostkę. Taka postawa posiada niewątpliwą siłę moralną, gdyż przypomina nam, że żaden człowiek nie powinien zostać uwięziony w ciasnej klatce tożsamości zbiorowej. Niemniej jednak jej fundamentalna słabość polega na całkowitym ignorowaniu realnych, społecznych skutków stygmatu, który przecież nie znika pod wpływem deklaracji o ślepocie na barwy. Jeśli bowiem społeczeństwo w sposób nieformalny dostrzega i kategoryzuje daną grupę, państwo nie może udawać, że skutki tego widzenia po prostu nie istnieją w sferze publicznej.

Drugi nurt krytyczny to konserwatywny komunitaryzm asymilacyjny, który stawia wspólnotę i jej ciągłość na pierwszym miejscu. Głosi on, że każda stabilna zbiorowość ma prawo chronić swoje normy, a przybysze, chcąc w niej uczestniczyć, powinni się do nich bezwarunkowo dostosować. Trudno odmówić temu podejściu pewnego racjonalnego jądra, wszak żadna demokracja nie

przetrwa bez wspólnego języka prawnego, zasad lojalności i minimalnej kultury obywatelskiej. Problem pojawia się jednak w momencie, gdy wspólne normy zostają utożsamione z obyczajem większości, a ten z kolei z domniemaną wyższością moralną. Wtedy integracja zmienia się w upokarzający test niewidzialności: możesz być z nami, o ile nie przypominasz nam zbyt mocno, że jesteś także sobą. Esencjalizm jest intelektualnym fast foodem polityki – syci szybko poczuciem jedności, ale szkodzi długofalowo, niszcząc tkankę autentycznego współuczestnictwa.

Trzeci nurt to ekonomiczny sceptycyzm wobec polityk grupowych, który nakazuje nam skupić się na klasie, dochodzie i edukacji zamiast na narodowości czy kulturze. To również nie jest argument pozbawiony sensu, bowiem wiele problemów mniejszości ma swój brutalny, materialny fundament w postaci ubóstwa czy braku kapitału społecznego. Wykluczenie z rynku mieszkań, niska jakość peryferyjnych szkół i brak perspektyw zawodowych to potężne determinanty nierówności, których nie da się rozwiązać samą retoryką. Jednak Loury słusznie odpowiedziałby, że klasa nie unieważnia stygmatu, a dwie osoby o podobnym dochodzie mogą być zupełnie inaczej odczytane przez otoczenie. Redukowanie rasizmu do ekonomii jest jak tłumaczenie pożaru wyłącznie wysoką temperaturą, bez pytania o to, kto i dlaczego rozlał w tym miejscu benzynę.

Czwarty nurt to radykalny antymultikulturalizm, który w różnorodności widzi przede wszystkim siłę osłabiającą zaufanie społeczne i generującą nieuchronne konflikty. Argument ten lubi występować w masce zimnego realizmu, wspierając się selektywnymi przykładami nieudanych procesów integracyjnych w Europie Zachodniej. Należy go traktować poważnie, gdyż źle zaprojektowana integracja rzeczywiście może prowadzić do gettoizacji i powstania równoległych społeczeństw o sprzecznych systemach wartości. Niemniej jednak właściwy wniosek nie powinien brzmieć: zamknąć wspólnotę i stygmatyzować obcych, lecz budować sprawne instytucje kontaktu. Integracja instytucjonalna, czyli tworzenie przez państwo trwałych struktur, takich jak wspólne szkoły, miejsca pracy i centra wsparcia, pozwala przekształcić chaos różnorodności w stabilną strukturę obywatelską.

Właśnie dlatego polska polityka powinna wreszcie odejść od dwóch szkodliwych złudzeń, które paraliżują naszą debatę publiczną. Pierwsze z nich głosi, że wystarczy po prostu nie być rasistą, aby problem wykluczenia zniknął z horyzontu. To błąd, ponieważ społeczeństwo może reprodukować stygmat bez żadnej jawnej intencji nienawiści, jedynie poprzez bezwładność swoich struktur i nawyków. Drugie złudzenie to wiara, że wystarczą same dobre intencje i empatia wobec mniejszości, co również okazuje się niewystarczające w zderzeniu z rzeczywistością. Potrzebne są bowiem konkretne instytucje, fundusze, procedury, rzetelne dane i ochrona prawna, a przede wszystkim odwaga w używaniu precyzyjnego języka. Antyrasizm bez administracji jest tylko kazaniem, natomiast administracja bez antyrasizmu pozostaje ślepa na ludzką krzywdę.

Polskie partie polityczne wykazują w tej materii ogromną niespójność, balansując między doraźną pomocą a lękowym wycofaniem. Czasem wzmacniają ramy równego traktowania i edukują służby, by innym razem uciekać w teatr twardości i traktować integrację jako koszt, a nie inwestycję. Często mylimy bezpieczeństwo z systemową podejrzliwością, zostawiając najtrudniejsze tematy organizacjom społecznym, by na poziomie centralnym uprawiać politykę opartą na lęku. Państwo polskie nie jest bezbronne wobec rasizmu, ale nie jest też jeszcze państwem dojrzałej antystygmatyzacji, która wymagałaby głębszej refleksji nad własnymi uprzedzeniami. Najbardziej loury'owska odpowiedź brzmi: Polska musi nauczyć się odróżniać ślepotę proceduralną od obojętności moralnej. Można wszak stosować procedury neutralne wobec pochodzenia, stale badając, czy nie mają one nierównych skutków dla grup już obciążonych społecznym stygmatem.

Państwo ma prawo chronić swoje granice, zwłaszcza gdy w grę wchodzi presja hybrydowa, czyli instrumentalne wykorzystywanie migracji przez autorytarne reżimy w celu destabilizacji. Niemniej jednak obrona granic nie może oznaczać produkcji obrazu ludzi jako istot mniej ludzkich, pozbawionych przyrodzonej godności. Można wymagać przestrzegania prawa, ale nie wolno zamieniać przestępstw jednostek w akt oskarżenia przeciwko całym kulturom czy religiom. Indywidualizacja winy, będąca przywilejem grup większościowych, w którym występek jednostki nie obciąża całej zbiorowości, powinna stać się standardem wobec każdego mieszkańca. Można oczekiwać integracji, ale nie wolno żądać upokarzającej asymilacji, która czyniłaby z polskości narzędzie brutalnej selekcji antropologicznej.

Loury ostrzegał Amerykanów, by nie próbowali ubijać z własnym państwem osobnego targu, co w naszym kontekście można sparafrazować jako apel o uczciwość wobec własnego sumienia. Nie wystarczy powiedzieć mniejszościom, że prawo ich chroni, jeśli jednocześnie odmawia się im domniemania przynależności do wspólnoty. Bo jeśli człowiek posiada formalne prawa, ale nie czuje, że jest postrzegany jako "swój", nadal stoi pod drzwiami, które są jedynie ładniej opisane. Stygmat nie potrzebuje dowodu, on jest dowodem samym dla siebie, dopóki nie zostanie aktywnie przełamany przez instytucje i kulturę. W nim mieści się cała mała metafizyka wykluczenia, którą musimy zastąpić nowym reżimem znaczeń, definiującym mniejszości jako pełnoprawnych współobywateli.

Loury zaczyna od pozornie akademickiej tezy, że rasa jest konstruktem społecznym, co w Polsce okazuje się materiałem wybuchowym dla naszej wyobraźni zbiorowej. Polska matryca stygmatyzacji jest bowiem wielowarstwowa i nie ogranicza się wyłącznie do koloru skóry, choć ten pozostaje silnym znacznikiem obcości. Czarnoskóry lekarz czy student bywa natychmiast oznaczony jako "nietutejszy", ale polski system wykluczenia potrafi być znacznie bardziej subtelny i podstępny. Tu obcość może być wypisana w akcencie, nazwisku, domniemanej cywilizacji czy nawet

w samej etykiecie "uchodźcy", która staje się piętnem. To nie czyni polskiego rasizmu mniej realnym, czyni go jedynie mniej podręcznikowym i trudniejszym do uchwycenia w proste ramy statystyczne.

Wielu chętnie ucieka w argument, że w Polsce nie ma rasizmu, bo nie mieliśmy kolonii ani segregacji typu Jim Crow, co jest jednak jedynie historycznym uniewinnieniem. Polska nie musi kopiować historii Stanów Zjednoczonych, aby wypracować własne, równie skuteczne mechanizmy etnicyzacji i kulturowego piętnowania. Choroba nie musi mieć tej samej genealogii, by dawać podobne objawy, a kaszel w obu przypadkach nie jest przecież dowodem zdrowia. Sygnifikacja obcości, czyli proces nadawania cechom fizycznym lub kulturowym znaczenia hierarchicznego, sprawia, że kategorie te są stale produkowane. Społeczeństwo wybiera pewne cechy i nadaje im ciężar moralny, zamieniając kolor skóry w zagrożenie, a religię w synonim przemocy.

Ukraińskość bywa u nas wahadłowo lokowana między braterską bliskością a lękiem przed konkurencją o zasoby państwa, co pokazuje płynność tych konstrukcji. Romskość od pokoleń zostaje obciążona dziedzicznym stereotypem nieprzystosowania, a żydowskość bywa zamieniana w fantazmat ukrytego wpływu. Nawet białoruskość czy rosyjskość, po agresji Rosji na Ukrainę, zostały wciągnięte w gęste pole geopolitycznych podejrzeń, które uderzają w jednostki. Te konstrukcje społeczne nie są "nierzeczywiste" – ich realność objawia się w konkretnych, bolesnych skutkach dla konkretnych ludzi. Rzeczywistość społeczna nie potrzebuje podstaw biologicznych, wystarczy bowiem, że ludzie w nią wierzą i według niej codziennie postępują.

Jeśli właściciel mieszkania odmawia wynajmu rodzinie romskiej w obawie przed mitycznymi problemami, to konstrukcja stygmatu działa z pełną siłą. Jeśli pracodawca z góry zakłada, że migrant spoza Europy nadaje się wyłącznie do prac niskopłatnych, to reżim znaczeń zbiera swoje żniwo. Gdy szkoła traktuje dziecko z obcym akcentem jako tymczasowy kłopot, a nie szansę na rozwój, mechanizm wykluczenia zostaje wprawiony w ruch. Jeśli media karmią nas wyłącznie obrazami tłumu i policyjnych kordonów, różnica między nauką społeczną a przesądem w marynarce zaczyna się niebezpiecznie zacierać. Ostatecznie to w tramwaju, gdy odruchowo pilnujemy plecaka na widok kogoś "niepolskiego", rozstrzyga się to, czy jesteśmy wspólnotą otwartą, czy jedynie zbiorem ludzi uwięzionych w lęku.

Pułapka esencjalizmu: dlaczego stygmat zastępuje reformy

Glenn Loury pisał o rasie jako o ucieleśnionej sygnifikacji społecznej, lecz w polskich realiach musimy mówić raczej o sygnifikacji obcości. Sygnifikacja obcości, czyli proces nadawania cechom fizycznym, kulturowym lub religijnym znaczenia politycznego i hierarchicznego, sprawia, że ciało, nazwisko czy modlitwa stają się znakami. Znaki te zostają natychmiast włączone w sztywną hierarchię społeczną, w której jedne ciała wydają się neutralne, bo należą do statystycznej większości. Inne natomiast są stale poddawane procedurze wyjaśniania, legitymizowania i usprawiedliwiania swojej obecności w przestrzeni publicznej. W tym mieści się cała mała metafizyka wykluczenia: jedni mają prawo po prostu wejść do pokoju, inni muszą od progu reprezentować kontynent, religię lub problem społeczny.

To subtelna, lecz niezwykle dotkliwa forma przemocy symbolicznej, w której przedstawiciel większości posiada biografię, natomiast mniejszość dysponuje jedynie kategorią. Antyesencjalizm, czyli odmowa przypisywania grupom trwałych i naturalnych deficytów, stanowi jedyną rzetelną odpowiedź na tę niesprawiedliwość. W polskiej polityce antyesencjalizm musiałby oznaczać definitywny koniec zdań zaczynających się od leniwych fraz typu „oni zawsze", „tacy ludzie" lub „ta mentalność". Nie dzieje się tak dlatego, że jednostkowe przypadki przemocy, nadużyć czy trudności integracyjnych w ogóle nie istnieją, gdyż byłoby to kłamstwem. Niemniej antyesencjalizm wymaga, aby z faktu społecznego nie czynić niezmiennej natury grupy, co stanowi fundament każdej uczciwej i nowoczesnej polityki.

Można i należy rzetelnie badać przestępczość, konflikty kulturowe, bariery językowe, wyzysk pracowniczy czy patologie pośrednictwa pracy w kontekście migracji. Wolno nam analizować mechanizmy społeczne, lecz pod żadnym pozorem nie wolno nam produkować zbiorowej ontologii winy obciążającej całe społeczności. Jeżeli w jakiejś grupie pojawia się większe ryzyko pewnych problemów, naukowe pytanie brzmi: jakie warunki, bodźce, instytucje i traumy do tego prowadzą? Pytanie stygmatyzujące, oparte na lęku, brzmi znacznie prościej: co jest z nimi nie tak? Różnica między tymi pytaniami to w istocie różnica między nauką społeczną a przesądem w dobrze skrojonej marynarce.

Polska debata publiczna bardzo często ucieka od antyesencjalizmu, ponieważ esencjalizm jest politycznie wydajny, tani w obsłudze i niezwykle chwytliwy. Pozwala on szybko opisać skomplikowany świat, wskazać winnego, zbudować wspólnotę lęku i uniknąć konieczności wdrażania kosztownych reform strukturalnych. Jeśli uznamy, że Romowie „po prostu tacy są", nie trzeba pytać o edukację, mieszkalnictwo, segregację czy lokalne praktyki wykluczenia. Gdy

twierdzimy, że muzułmanie „nie pasują", zdejmujemy z państwa obowiązek budowania polityki integracyjnej i rozumienia ogromnej różnorodności islamu. Esencjalizm jest intelektualnym fast foodem polityki: syci szybko nienawiścią, lecz szkodzi organizmowi społecznemu przez długie lata.

Jeśli Ukraińcy rzekomo „nadużywają pomocy", nie trzeba rozmawiać o systemowym przeciążeniu szkół, rynku najmu, służby zdrowia oraz niewydolności samorządów. Gdy migranci zostają zredukowani do roli „zagrożenia dla kobiet", znika potrzeba projektowania realnego bezpieczeństwa publicznego bez uciekania się do zbiorowej demonizacji. Esencjalizm jest tani, ponieważ wymaga jedynie sprawnej propagandy, podczas gdy prawdziwy rozwój społeczny jest drogi i wymaga żmudnej pracy. Dlatego politycy tak chętnie wybierają ten pierwszy mechanizm, udając jednocześnie przed wyborcami, że z wielkim trudem finansują ten drugi. Stygmat nie potrzebuje dowodu, wszak w tej cynicznej grze stygmat staje się dowodem samym dla siebie.

Stygmat społeczny, czyli mechanizm przypisywania jednostkom negatywnych cech na podstawie ich przynależności do grupy postrzeganej jako gorsza, jest znacznie głębszy niż stereotyp. Stereotyp bywa uproszczonym oczekiwaniem dotyczącym zachowania, podczas gdy stygmat jest ostatecznym wyrokiem moralnym i degradacją statusu człowieka. Stereotyp dotyczy przewidywania przyszłych zdarzeń, stygmat zaś dotyczy samej istoty bytu, toteż jest on tak przerażająco odporny na fakty. Kiedy jednostka zachowuje się zgodnie ze stereotypem, mówi się: „właśnie, typowe", a kiedy zachowuje się przeciwnie, zostaje uznana za wyjątek. Stygmat jest teorią, która nie ryzykuje falsyfikacji, co w języku porządnej epistemologii czyni ją konstrukcją podejrzanie wygodną.

Loury pokazuje, że stygmat działa przez skażenie wirtualnej tożsamości społecznej, która staje się barierą między człowiekiem a jego otoczeniem. Zanim człowiek zostanie poznany jako osoba rzeczywista, zostaje on bezlitośnie przypisany do gotowego, często karykaturalnego obrazu zbiorowego. W Polsce widać to szczególnie dobrze w debacie o bezpieczeństwie, gdzie indywidualizacja winy pozostaje luksusem dostępnym wyłącznie dla przedstawicieli większości. Indywidualizacja winy, czyli przywilej traktowania przestępstwa jednostki jako odosobnionego przypadku, a nie cechy zbiorowości, jest fundamentem sprawiedliwości. Bez niej pozostajemy uwięzieni w reżimie znaczeń, czyli ramach narracyjnych definiujących mniejszości jako obiekty zarządzania, a nie współobywateli.

Mechanika stygmatu: jak stereotypy stają się rzeczywistością

Gdy obywatel należący do większości dopuszcza się przestępstwa, system i opinia publiczna traktują go jako błąd w sztuce, odosobnioną patologię lub po prostu sprawcę z konkretnym imieniem i nazwiskiem. W takim przypadku mamy do czynienia z luksusem indywidualizacji winy, który pozwala wspólnocie zachować czyste sumienie kosztem jednostki. Sytuacja zmienia się drastycznie, gdy sprawcą zostaje cudzoziemiec z grupy już wcześniej obarczonej społecznym uprzedzeniem. Wtedy mechanizm psychologiczny działa błyskawicznie: wina jednostki zostaje rozlana na całą kategorię, a konkretny człowiek staje się mimowolnym reprezentantem zbiorowości. „Polak ukradł" rzadko prowokuje do wniosku, że kradzież jest cechą narodową Polaków, lecz w przypadku migranta taka generalizacja następuje niemal automatycznie. To właśnie nierówność symbolicznego ciężaru winy sprawia, że mniejszość zawsze dźwiga na barkach grzech zbiorowy, podczas gdy większość cieszy się przywilejem bycia ocenianą wyłącznie za własne czyny.

Ten mechanizm przenoszenia odpowiedzialności z jednostki na grupę znajduje dziś idealne warunki rozwoju w architekturze mediów społecznościowych oraz ich algorytmach. Współczesny rasizm nie potrzebuje już dymiących kominów ani wieców nienawiści, ponieważ doskonale odnajduje się w cyfrowym środowisku premiującym konflikt, gniew i sugestywny obraz. Algorytm wcale nie musi „być rasistą" w sensie ideologicznym, aby skutecznie wzmacniać treści o charakterze rasizującym i ksenofobicznym. Wystarczy, że treści stygmatyzujące generują wysokie zaangażowanie, a system, goniąc za uwagą użytkownika, zacznie je masowo dystrybuować. Krótkie nagranie bójki z udziałem cudzoziemca staje się w tym obiegu niepodważalnym dowodem na naturę całej grupy etnicznej. Cyfrowy obieg informacji przekształca się w wydajną fabrykę stygmatu, gdzie format wideo i odpowiednio dobrany opis zastępują rzetelną analizę faktów.

Partie polityczne doskonale rozumieją tę logikę wizualną, wykorzystując ją w kampaniach opartych na zarządzaniu lękiem przed nieznanym. W nowoczesnej komunikacji politycznej obraz działa znacznie szybciej niż jakakolwiek merytoryczna analiza statystyczna czy socjologiczna. Tłum młodych mężczyzn przy granicy, policyjne koguty, mapa przecięta agresywnymi czerwonymi strzałkami oraz dramatyczna muzyka tworzą spójną semiotykę stygmatu. Nie trzeba wprost formułować oskarżeń o niższość cywilizacyjną, gdyż wystarczy konsekwentnie pokazywać drugiego człowieka wyłącznie w kontekście zagrożenia i utraty kontroli. Esencjalizm jest intelektualnym fast foodem polityki, który syci szybko prymitywne instynkty, ale szkodzi tkance społecznej przez długie dekady. Reżim znaczeń, czyli ramy narracyjne definiujące mniejszości jako obiekty zarządzania,

sprawia, że przestajemy widzieć w nich współobywateli, a zaczynamy dostrzegać jedynie problem do rozwiązania.

Znaczenie społeczne nie rodzi się z pojedynczego aktu, lecz powstaje przez nieustanne powtarzanie tych samych, uproszczonych komunikatów. Nowoczesny rasizm jest często formą montażu, w którym wyrywa się fakty z kontekstu, by pasowały do z góry założonej tezy o obcości. Warto w tym miejscu przywołać koncepcję Glenna Loury'ego dotyczącą samospełniających się stereotypów, które stają się prawdziwe w skutkach, gdy ludzie organizują wokół nich swoje zachowania. W Polsce mechanizm ten jest widoczny przede wszystkim na rynku pracy, gdzie migranci trafiają do segmentów niskopłatnych i słabo chronionych. Jeśli pracodawcy zakładają, że cudzoziemcy są pracownikami „czasowymi" i „mniej wymagającymi", to naturalnie inwestują mniej w ich rozwój zawodowy. W odpowiedzi migranci uczą się, że stabilność nie jest dla nich dostępna, co po latach pozwala systemowi stwierdzić z wyższością, że „oni tylko pracują fizycznie".

Podobny, niezwykle szkodliwy proces zachodzi w systemie edukacji, gdzie dzieci z doświadczeniem migracji są od początku czytane przez pryzmat deficytu. Jeśli nauczyciel lub dyrektor zakłada, że uczeń cudzoziemski stanowi przede wszystkim problem organizacyjny, dziecko otrzymuje znacznie mniej ambitnych bodźców do nauki. Sygnifikacja obcości, czyli praktyka nadawania cechom kulturowym negatywnego znaczenia hierarchicznego, sprawia, że uczeń zaczyna obniżać własne aspiracje, czując, że i tak nie nadąża. System edukacyjny, zamiast mierzyć realny potencjał tych młodych ludzi, mierzy w rzeczywistości skutki środowiska, które od początku skazało ich na porażkę. Loury nazwałby to klasycznym błędem rozwoju, w którym dziecko nie przegrywa na egzaminie, lecz zostaje źle ustawione wobec niego przez lata niskich oczekiwań. Prawda o słabszych wynikach jest zatem jedynie smutnym potwierdzeniem uprzedzeń, które legły u podstaw procesu kształcenia.

W obszarze polityki bezpieczeństwa samospełniający się stereotyp działa poprzez systemową nieufność, która paraliżuje relacje między państwem a mniejszościami. Jeżeli określone grupy czują, że policja lub urzędy widzą w nich przede wszystkim potencjalne zagrożenie, zaczynają one naturalnie unikać kontaktu z oficjalnymi instytucjami. Nie zgłaszają przemocy, nie proszą o pomoc w sytuacjach kryzysowych i szukają rozwiązań wyłącznie wewnątrz własnych, zamkniętych sieci wsparcia. Państwo interpretuje tę wymuszoną izolację jako „niechęć do współpracy" lub cechę kulturową, całkowicie ignorując własną rolę w produkowaniu tego dystansu. To jedna z najbardziej perfidnych postaci stygmatu: najpierw odmawia się grupie zaufania, a następnie karze się ją za brak zaufania zwrotnego. Stygmat nie potrzebuje dowodu, ponieważ w tej logice stygmat staje się dowodem samym dla siebie, zamykając dyskusję przed jej rozpoczęciem.

Mechanizm ten objawia się równie brutalnie na rynku mieszkaniowym, gdzie dyskryminacja często przybiera formę cichej odmowy dostępu do normalności. Gdy właściciele lokali nie chcą wynajmować mieszkań uchodźcom lub osobom o innym kolorze skóry, grupy te trafiają do przeludnionych i gorszych lokali. Takie warunki bytowe fatalnie wpływają na zdrowie, stabilność pracy oraz edukację dzieci, co w dłuższej perspektywie generuje problemy społeczne. Większość patrzy wtedy na te trudności i mówi z przekąsem, że „oni żyją w chaosie", nie dostrzegając, że ten chaos jest produktem wykluczenia. Zakończenie dyskryminacji w formalnych kontraktach nie oznacza jeszcze osiągnięcia równości w codziennych kontaktach międzyludzkich. Rynek mieszkaniowy to miejsce, gdzie kontrakt i kontakt splatają się najściślej, a nieformalne uprzedzenia decydują o tym, kogo chcemy mieć w swoim sąsiedztwie.

W sferze obywatelskiej stygmat stawia fundamentalne pytanie o to, kto ma prawo czuć się w Polsce „u siebie" i współtworzyć naszą wspólnotę. Czy czarnoskóry obywatel, muzułmanka czy Wietnamczyk prowadzący firmę od trzech dekad są traktowani jako integralna część polskiego „my"? Czy może nadal postrzegamy ich jako egzotyczny dodatek, przypadek statystyczny lub kolejny trudny test dla naszej narodowej tolerancji? Loury'owska zasada niepodzielności wymaga, aby wspólnota nie traktowała swoich stygmatyzowanych grup jako zewnętrznego, obcego problemu, który należy jedynie sprawnie zarządzić. Nie pytamy przecież, czy opłaca się integrować własne dziecko, ani czy deficyty starszego rodzica nie obniżają naszej ogólnej konkurencyjności gospodarczej. Jeśli jednak zadajemy takie pytania w stosunku do migrantów, oznacza to, że wciąż nie włączyliśmy ich do kręgu osób, za które czujemy się odpowiedzialni.

Polska tożsamość, budowana przez wieki wokół języka, religii i wspólnej martyrologii, posiada głęboką pamięć symboliczną, której nie należy lekceważyć. Narody nie są beznamiętnymi arkuszami kalkulacyjnymi, lecz żywymi organizmami, które potrzebują wspólnych mitów i historii, by trwać w czasie. Problem pojawia się jednak wtedy, gdy ten rdzeń tożsamościowy zamienia się w filtr antropologiczny, wykluczający każdego, kto nie pasuje do dawnego wzorca. Wówczas polskość przestaje być otwartą wspólnotą polityczną, a staje się urządzeniem selekcyjnym, które służy do trwałego naznaczania podejrzanych. Nowoczesne państwo demokratyczne potrzebuje polskości rozszerzalnej, która potrafi przyjąć nowych członków poprzez prawo, pracę, lojalność obywatelską i codzienny trud sąsiedztwa. Taka postawa nie jest przejawem słabości, lecz stanowi zaawansowaną technologię przetrwania w świecie pełnym migracji i nieuchronnych zmian demograficznych.

Argument ekonomiczny jedynie wzmacnia tę tezę, wskazując na palącą potrzebę rąk do pracy oraz innowacyjności, którą przynoszą nowi mieszkańcy. Jeśli polityka będzie systemowo stygmatyzować cudzoziemców, podczas gdy gospodarka będzie ich desperacko potrzebować, powstanie niebezpieczna hipokryzja strukturalna. Chętnie przyjmujemy migrantów jako anonimową siłę

roboczą, ale znacznie trudniej przychodzi nam zaakceptowanie ich jako pełnoprawnych sąsiadów czy współobywateli. To znany błąd europejski, który Loury opisał jako tragiczne rozdzielenie kontraktu rynkowego od autentycznego kontaktu społecznego. Rynek pragnie kontraktu, ponieważ jest on opłacalny, ale wspólnota lęka się kontaktu, bo wymaga on wyjścia poza strefę komfortu. Bez tego kontaktu nie ma jednak mowy o trwałym rozwoju, zaufaniu ani stabilnej integracji, która chroniłaby nas przed społeczną atomizacją. Państwo nie może nakazać nam prywatnych sympatii, ale musi tworzyć ramy, w których stygmat przestaje być jedynym kluczem do odczytywania drugiego człowieka.

Chirurgia stygmatu: jak realnie naprawić nierówności społeczne

Liberalna wolność, chroniąca prawo do wyboru prywatnych relacji, nie zwalnia państwa z obowiązku projektowania mądrej architektury społecznej. Instytucje nie mogą wprawdzie zadekretować wzajemnej sympatii obywateli, ale mogą skutecznie budować mosty tam, gdzie dziś straszą jedynie przepaście i lęk. Dobra szkoła, mieszane osiedla, sprawna administracja czy lokalne centra integracji to nie tylko techniczne udogodnienia, lecz fundamenty, na których wyrasta społeczne zaufanie. Państwo nie zmusi nas, byśmy zaprosili sąsiada o innym kolorze skóry na kawę, lecz może sprawić, byśmy nie mijali się wyłącznie w oparach wzajemnej podejrzliwości. Chodzi o stworzenie warunków, w których kontakt staje się naturalną konsekwencją wspólnego życia, a nie wymuszonym aktem politycznej poprawności.

Kulturoznawcy słusznie zauważają, że stygmat społeczny, czyli mechanizm przypisywania jednostkom negatywnych cech na podstawie ich przynależności do grupy, żyje przede wszystkim w opowieściach. Dlatego skuteczna polityka antyrasistowska musi być w swej istocie polityką narracyjną, wykraczającą daleko poza ramy prostej, festynowej propagandy. Nie wystarczy nam uśmiechnięta różnorodność z plakatów, jeśli następnego dnia wszyscy wracają do swoich bezpiecznych, posegregowanych baniek i uprzedzeń. Prawdziwym wyzwaniem jest zmiana domyślnego obrazu świata, który nosimy pod powiekami, i zastąpienie go wizją bardziej sprawiedliwą. Musimy zrozumieć, że reżim znaczeń, czyli ramy narracyjne definiujące mniejszości jako współobywateli lub obiekty zarządzania, determinuje ostatecznie jakość naszej demokracji.

Mniejszości nie mogą pojawiać się w naszej wspólnej przestrzeni wyłącznie w roli ofiar, egzotycznych ciekawostek czy dyżurnych ekspertów od własnego wykluczenia. Muszą stać się widoczne jako zwykli uczestnicy codzienności: przedsiębiorcy, policjanci, rodzice, naukowcy czy samorządowcy, którzy po prostu współtworzą naszą rzeczywistość. Normalność jest najpotężniejszą

formą antystygmatyzacji, ponieważ odbiera różnicy status skandalu i czyni ją naturalnym elementem społecznego tła. Nie chodzi o to, by na siłę wymazać odmienność, lecz by przestała ona być jedyną soczewką, przez którą patrzymy na drugiego człowieka. Esencjalizm jest intelektualnym fast foodem polityki – syci szybko poczuciem moralnej słuszności, ale w dłuższej perspektywie dotkliwie szkodzi tkance społecznej.

W tym miejscu musimy jednak zachować zdrowy sceptycyzm, gdyż nie każda polityka reprezentacji przynosi realne i trwałe owoce. Często staje się ona jedynie dekoracyjnym tokenizmem, w którym jedna osoba na liście wyborczej ma przykryć brak realnych zmian w procedurach. Loury'owska analiza uczy nas, by mierzyć skutki działań, a nie tylko szlachetne intencje, które bywają wyjątkowo zwodnicze. Pytanie nie brzmi, czy wykonano ładny gest przed kamerami, lecz czy realnie zmniejszono stygmat i poszerzono dostęp do rozwoju. Symbol pozbawiony oparcia w silnych instytucjach jest jedynie świecą na przeciągu, która zgaśnie przy pierwszym silniejszym podmuchu politycznego kryzysu.

Warto też uczciwie przyznać, że część krytyków obawia się, iż nadmierne eksponowanie tożsamości może paradoksalnie utrwalać istniejące podziały. Istnieje realne ryzyko, że polityka skoncentrowana na grupach zamknie jednostki w sztywnych kategoriach, zamiast dawać im upragnioną wolność od etykiet. Możemy wpaść w pułapkę moralnej konkurencji ofiar lub utonąć w biurokratycznym języku różnorodności, który nie przekonuje nikogo poza urzędnikami. Jeśli pojęcie rasizmu zostanie rozszerzone do granic absurdu, straci ono swoją analityczną precyzję i stanie się jedynie pałką w sporach symbolicznych. Musimy uznać te zagrożenia, by antyrasizm nie stał się własną, skostniałą ortodoksją, która broni siebie bardziej niż prawdy.

Glenn Loury pomaga nam uniknąć tej pułapki, ponieważ jego myśl nie opiera się na naiwnej celebracji tożsamościowej odrębności. Autor ten przypomina, że choć rasa jako kategoria biologiczna jest fałszem, to jako znaczenie społeczne pozostaje brutalnie skutecznym narzędziem wykluczenia. Jego celem nie jest wieczne zarządzanie grupowością, lecz taka chirurgia stygmatu, która usunie krzywdzące skutki historycznych i kulturowych napiętnowań. To podejście łączy w sobie antyesencjalizm z twardym realizmem, uznając, że społeczne konstrukcje potrafią miażdżyć ludzi bardziej realnie niż skały. Nie budujemy tu kultu różnicy, lecz fundament pod społeczeństwo, w którym pochodzenie ostatecznie przestaje być życiowym wyrokiem.

W polskich warunkach oznacza to konieczność prowadzenia polityki dwupoziomowej, łączącej wierność zasadom z wrażliwością na społeczne detale. Na poziomie procedur musimy bezwzględnie bronić równego traktowania, neutralności instytucji oraz przejrzystości prawa dla każdego bez wyjątku. Jednocześnie musimy badać, czy te neutralne z pozoru reguły nie utrwalają w rzeczywistości gorszego statusu grup historycznie stygmatyzowanych. Na poziomie narracji należy

zaś konsekwentnie poszerzać granice wspólnotowego „my", zamiast nieustannie pytać, czy „oni" zasługują na naszą łaskę. To właśnie tu przebiega granica między ślepotą proceduralną, która bywa cnotą, a obojętnością na skutki, która jest ucieczką.

Dobrym przykładem tego dylematu jest edukacja, gdzie formalna równość często okazuje się jedynie pustym i dość cynicznym hasłem. Szkoła może traktować wszystkie dzieci identycznie, stawiając im te same wymagania i oceniając według tego samego, sztywnego klucza. Jeśli jednak część uczniów zmaga się z traumą wojenną, barierą językową lub brakiem kapitału kulturowego, to identyczna procedura wyprodukuje rażąco nierówne skutki. Sprawiedliwość nie zawsze polega na takim samym traktowaniu, lecz czasem wymaga nierównego wsparcia w celu wyrównania realnych szans startowych. Dla prostego umysłu będzie to nieuzasadnione uprzywilejowanie, ale dla poważnej teorii sprawiedliwości to konieczna korekta warunków początkowych.

Podobne mechanizmy obserwujemy na rynku pracy, gdzie sam formalny zakaz dyskryminacji rzadko wystarcza do realnej ochrony najsłabszych uczestników. Migranci, nie znając języka prawa i nie posiadając sieci kontaktów, stają się łatwym łupem dla nieuczciwych pośredników i wyzyskiwaczy. Państwo powinno zatem inwestować w inspekcję pracy, uznawanie kwalifikacji oraz realną ochronę przed nadużyciami, traktując to jako inwestycję w stabilność. To nie jest filantropia, lecz racjonalna polityka zwiększania ogólnej produktywności i ograniczania szkodliwej, patologicznej segmentacji rynku. Rasizm i ksenofobia są bowiem nie tylko głęboko niemoralne, ale również ekonomicznie krótkowzroczne i po prostu głupie.

Marnowanie kapitału ludzkiego poprzez uprzedzenia obniża ogólne zaufanie społeczne i generuje ogromne koszty kontroli oraz późniejszego bezpieczeństwa. Produkujemy w ten sposób szarą strefę i niszczymy lojalność wobec państwa, która jest kluczowa dla stabilności każdego nowoczesnego systemu. Integracja instytucjonalna, czyli tworzenie trwałych struktur kontaktu, pozwala przekształcić chwilową gościnność w stabilny i przewidywalny system współistnienia. Musimy zrozumieć, że stygmat nie potrzebuje dowodu, ponieważ jest on dowodem samym dla siebie w oczach uprzedzonego obserwatora. Tylko poprzez odważną przebudowę warunków społecznych możemy sprawić, że ta destrukcyjna logika przestanie zatruwać naszą wspólną, obywatelską przyszłość.

Między bezpieczeństwem a godnością: jak zwalczać stygmatyzację

W prawie karnym musimy pamiętać, że przestępstwa z nienawiści mają naturę dwuwarstwową, niemal janusową. Krzywdzą one konkretną osobę, ale ich prawdziwym celem jest wyemitowanie sygnału zagrożenia do całej zbiorowości. Jeśli ktoś zostaje zaatakowany z powodu koloru skóry lub wyznania, ofiarą jest jednostka, lecz adresatem komunikatu pozostaje grupa: „tacy jak wy nie są tutaj bezpieczni". Państwo musi zatem reagować z siłą znacznie większą niż przy zwykłym konflikcie ulicznym, gdyż stawką nie jest tylko ukaranie sprawcy. Nie chodzi o to, że jedne ofiary są ważniejsze od innych, lecz o fakt, że przemoc motywowana uprzedzeniem niszczy kruchą infrastrukturę obywatelskiego zaufania. To brutalny atak na prawo do obecności, w którym ciało ofiary staje się jedynie nośnikiem dla komunikatu politycznego.

Stygmat społeczny, czyli mechanizm przypisywania jednostkom negatywnych cech na podstawie ich przynależności grupowej, zawsze przesuwa człowieka nieco dalej od centrum uznanej normalności. Nie musi on od razu odmawiać człowieczeństwa w sposób bezpośredni i krzykliwy. Wystarczy, że czyni cudze cierpienie mniej pilnym, cudzą śmierć mniej skandaliczną, a cudzy strach mniej wiarygodnym dla opinii publicznej. Loury'owskie pytanie: „jacy z nas ludzie, że akceptujemy taką degradację pośród nas?", należy w Polsce powtarzać przy każdej debacie o granicy, gettach biedy czy antysemickich insynuacjach. Pozwala ono zrozumieć, że problemem nie jest tylko to, jacy „oni" są. Prawdziwym wyzwaniem jest to, kim my się stajemy, gdy pozwalamy na ich systematyczne odczłowieczanie.

Niezbędne jest również zrozumienie fundamentalnej różnicy między polityką bezpieczeństwa a polityką upokorzenia. Polska ma pełne prawo chronić swoje granice przed presją hybrydową, czyli instrumentalnym wykorzystywaniem migracji przez wrogie reżimy w celu destabilizacji państwa. Ma prawo rozróżniać migrację legalną od nielegalnej i deportować osoby, które nie posiadają podstaw do pobytu na jej terytorium. Jednak żadne państwo nie ma prawa produkować zbiorowego obrazu migrantów jako istot mniej ludzkich, używając ich cierpienia jako scenografii w wyborczym teatrze. Bezpieczeństwo pozbawione godności staje się jedynie surową przemocą administracyjną, podczas gdy godność bez bezpieczeństwa pozostaje naiwnym, choć pięknym hasłem. Dojrzała wspólnota musi utrzymać oba te elementy w napięciu, co jest zadaniem trudnym, ale polityka jest właśnie od rzeczy trudnych.

Współczesna Polska stoi przed wyborem między trzema modelami reakcji na te wyzwania. Model minimalny, ograniczający się do ścigania najbardziej drastycznych aktów nienawiści, jest niewystarczający, ponieważ stygmat zazwyczaj żyje i rozwija się poniżej progu prawa karnego.

Model reaktywny, w którym państwo budzi się dopiero w momencie medialnego kryzysu lub alarmu organizacji społecznych, jest z kolei zawsze spóźniony. W takim scenariuszu stygmat zdążył już wykonać swoją niszczycielską pracę w tkance społecznej, zanim urzędnik postawił pierwszą kropkę w raporcie. Syci szybko, szkodzi długo.

Trzecią drogą jest model rozwojowy, oparty na świadomym budowaniu warunków, w których grupy mniejszościowe zyskują realny dostęp do edukacji, pracy i bezpieczeństwa. Tylko ten model realizuje postulat Loury'owskiego egalitaryzmu rasowego, który w naszych warunkach nie oznacza kopiowania amerykańskich wzorców, lecz projektowanie polityk wrażliwych na skutki wobec grup wykluczonych. Kluczowa jest tutaj integracja instytucjonalna, czyli tworzenie trwałych struktur kontaktu, takich jak wspólne szkoły czy miejsca pracy, które zmieniają emocjonalną gościnność w stabilny system. Musimy pamiętać, że antyrasizm bez administracji jest kazaniem. Administracja bez antyrasizmu jest ślepa. Różnica między tymi podejściami to różnica między rzetelną nauką społeczną a uprzedzeniem ubranym w elegancką marynarkę.

Od zarządzania obcością do pełnej podmiotowości obywatelskiej

Przejście od teoretycznych rozważań do konkretnych działań wymaga przyjrzenia się hydraulice państwa, poczynając od systemu edukacji. Rekrutacja do szkół i uczelni wyższych powinna aktywnie wspierać uczniów z zaniedbanych środowisk edukacyjnych, co w naturalny sposób obejmie znaczną część mniejszości oraz migrantów. Programy mieszkaniowe, zamiast pozostawiać wszystko niewidzialnej ręce rynku, muszą przeciwdziałać segregacji przestrzennej i bezkarnemu wyzyskowi najemców. Podobnie polityka rynku pracy powinna chronić cudzoziemców przed segmentacją oraz przed patologicznym pośrednictwem. Szkoła natomiast musi finansować asystentów kulturowych i językowych, którzy pełnią rolę niezbędnych mostów w codziennej komunikacji.

Samorządy mają tu do odegrania rolę kluczową, tworząc centra integracji nie jako chłodne urzędy asymilacji, lecz jako instytucje wzajemnego, obywatelskiego uczenia się. Media publiczne z kolei powinny przestać traktować mniejszości jako egzotyczną ciekawostkę lub wyłącznie temat do interwencyjnego reportażu. Ich zadaniem jest pokazywanie tych grup jako integralnej, normalnej części społeczeństwa, widocznej w codziennych rolach zawodowych i sąsiedzkich. Policja oraz prokuratura muszą zacząć traktować przestępstwa z nienawiści jako uderzenie w samą spójność obywatelską, a nie jako drażliwy, statystyczny dodatek do akt. Realna zmiana zaczyna się bowiem tam, gdzie państwo bierze odpowiedzialność za swoje symbole.

Najtrudniejsze wyzwanie dotyczy jednak partii politycznych, które pełnią funkcję głównych producentów sensu w przestrzeni publicznej. Powinny one przestać używać mniejszości jako wygodnych rekwizytów w cudzych, ideologicznych opowieściach, które służą jedynie doraźnej mobilizacji elektoratu. Lewica nie może redukować tych ludzi do roli zawodowych ofiar potrzebujących rzecznika, zaś liberalne centrum nie powinno widzieć w nich jedynie testu na europejską przyzwoitość. Prawica z kolei nie może sprowadzać ich wyłącznie do egzystencjalnego zagrożenia, a konserwatywne centrum do gości, którzy mają być wdzięczni i cisi. Każdy z tych redukcjonizmów jest w istocie inną formą odebrania człowiekowi jego pełnej, suwerennej podmiotowości.

Glenn C. Loury przypomina nam dobitnie, że stygmatyzacja dotyczy przede wszystkim tego, za kogo ludzie są w danym społeczeństwie uważani. Pytanie brzmi zatem: czy traktujemy ich jako pełnoprawnych współautorów wspólnoty, czy jedynie jako materiał do administracyjnego zarządzania? W tym miejscu powraca słynne, anegdotyczne ale, które w Polsce słyszymy nader często: Ja nic do nich nie mam, ale.... W tym krótkim zdaniu mieści się cała mała metafizyka wykluczenia, którą należy badać z powagą i precyzją godną najlepszego laboratorium socjologicznego. Musimy pytać, co następuje po tym spójniku: czy jest to lęk, propaganda, stereotyp, czy może realny, lokalny problem ekonomiczny lub brak kontaktu?

Jeśli potraktujemy każde takie ale jako ostateczny dowód rasizmu, zamkniemy rozmowę, zanim się ona na dobre rozpocznie. Jeśli jednak uznamy je za całkowicie niewinne, oddamy pole stygmatowi, który zacznie swobodnie meblować naszą wspólną przestrzeń publiczną. Trzeba zatem robić rzecz znacznie trudniejszą: rozbierać owo ale na czynniki pierwsze, analizując mechanizmy jego powstawania. To jest właśnie nauka społeczna w służbie demokracji, a nie jałowe, akademickie spory o definicje. Esencjalizm jest intelektualnym fast foodem polityki – syci szybko, szkodzi długo i utrwala szkodliwe podziały na my i oni.

Ostatecznie konstrukcjonizm uczy nas, że obcość jest produktem społecznym, a nie cechą przyrodzoną, którą można zmierzyć czy zważyć. Teoria stygmatu pokazuje, że najgłębsza przemoc nie polega na gorszym traktowaniu, lecz na wcześniejszym uznaniu kogoś za człowieka gorszego rodzaju. Teoria samospełniających się stereotypów ostrzega natomiast, że fałszywe oczekiwania potrafią wytwarzać bardzo prawdziwe i bolesne skutki społeczne. Polska może potraktować tę lekcję jako importowaną nowinkę i odrzucić ją z poczuciem moralnej wyższości. Może też jednak uznać ją za cenne narzędzie autorefleksji nad własną historią cierpienia, dumy, lęku i niespełnionych ambicji.

Loury nie mówi bowiem wyłącznie o Ameryce; mówi o każdym społeczeństwie, które nauczyło się przypisywać ludziom znaczenie, zanim dopuściło ich do głosu. Polska potrafi rozpoznać cudzą

pogardę wobec siebie z dokładnością sejsmografu, a jednocześnie własną pogardę wobec innych traktować jak zdrowy rozsądek. To nie jest zarzut wymierzony przeciwko Polsce, lecz poważne ostrzeżenie przed powielaniem błędów, które kosztowały inne narody utratę spójności. Prawo musi być wszak wsparte polityką kontaktu, która przekształca lęk w stabilne współistnienie. Ostatecznie wybór należy do nas: czy chcemy budować wspólnotę opartą na dialogu, czy na wygodnych uprzedzeniach.

> Stygmat nie potrzebuje dowodów, ponieważ w logice populizmu stygmat jest dowodem samym dla siebie. Prawdziwe pytanie nie brzmi już, czy mniejszości pasują do naszej kultury, lecz czy my sami jesteśmy gotowi przestać być własną największą przeszkodą w budowie otwartego społeczeństwa. Czy ostatecznie staniemy się wspólnotą, która definiuje swoją siłę przez włączenie, a nie przez wykluczenie?

Inspiracje

[1] "The Anatomy of Racial Inequality" Glenn C. Loury

Glenn Cartman Loury (ur. 1948) jest wybitnym amerykańskim ekonomistą, akademikiem i krytykiem społecznym. Obecnie jest profesorem nauk społecznych im. Mertona P. Stoltza oraz profesorem ekonomii na Uniwersytecie Browna. Loury uzyskał doktorat z ekonomii w Massachusetts Institute of Technology (MIT) w 1976 roku. W trakcie swojej znakomitej kariery zajmował stanowiska wykładowcy w kilku prestiżowych instytucjach, w tym na Uniwersytecie Harvarda, Uniwersytecie Bostońskim i Uniwersytecie Michigan. Jego praca naukowa koncentruje się na teorii mikroekonomii, teorii gier i ekonomii nierówności, ze szczególnym uwzględnieniem kwestii rasowych i polityki społecznej. Loury jest powszechnie uznawany za swoją intelektualną ewolucję od konserwatywnego punktu widzenia do bardziej heterodoksyjnej perspektywy, często przyczyniając się do debaty publicznej na temat sprawiedliwości rasowej, masowego uwięzienia i złożoności amerykańskiej tkanki społecznej poprzez swoje publikacje i podcasty.

Glenn Cartman Loury (born 1948) is a prominent American economist, academic, and social critic. He is currently the Merton P. Stoltz Professor of the Social Sciences and Professor of Economics at Brown University. Loury earned his Ph.D. in economics from the Massachusetts Institute of Technology (MIT) in 1976. Throughout his distinguished career, he has held faculty positions at several prestigious institutions, including Harvard University, Boston University, and the University of Michigan. His scholarly work focuses on microeconomic theory, game theory, and the economics of inequality, with a particular emphasis on race and social policy. Loury is widely recognized for his intellectual evolution from a conservative viewpoint to a more heterodox perspective, frequently contributing to public discourse on racial justice, mass incarceration, and the complexities of the American social fabric through his writing and podcasting.

Brown University

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: add5cdca-bfb2-4e80-8bf8-8c59162b9780